

Altruistka

[Oneshot] [Slice of Life] [Sad]

Autor: Hoffman

O pani Lullaby Harpstrings można było powiedzieć wiele. Kucyki, które dobrze ją znały, zwykły mawiać, iż był to podręcznikowy przykład altruistki z powołania. Zawsze niosąca pomoc innym, wkładająca w swą pracę całe serce, pogodna i ufna kompozytorka pomieszkiwała zupełnie sama w swym średnio zamożnym domostwie, usytuowanym w jednej z tych lepszych dzielnic Manehhattanu.

W czasach swej młodości, kiedy komponowała i pracowała jako nauczycielka akademicka, nie było kucyka, który nie słyszał jej ujmujących melodii. Niestety, znakomita większość jej utworów była wprost miażdżona przez krytyków, którzy po ówczesnej muzyce oczekiwali nie tyle klasyki i wielokrotnie podejmowanych motywów, co swego rodzaju awangardy, czy wręcz czegoś szokującego. Mimo wszystko, Lullaby była szczęśliwa, gdyż udało jej się zgromadzić wokół swej twórczości całkiem spore grono wiernych słuchaczy i słuchaczek. Wybierając się na Manehhattańską Akademię Artystyczną, bardzo dużo kucyków czuło się natchnionymi właśnie przez tę klacz. Młodzi artyści, którzy nie potrafili się odnaleźć pośród nowych nurtów, zapragnęli tworzyć tak jak ona, czuć nuty i dźwięki tak jak ona. Uczniowie marzyli o tym, by osiąść dla siebie część tego, co Lullaby zwykła nazywać „duchem natchnienia”. Między innymi dzięki temu, nauczanie i praca z młodzieżą była dla niej niemalże prawdziwą przygodą.

Ale tamte chwile były daleko za nią. Były coraz bledsze.

Często rozmyślała o tym, jak potoczyły się losy jej uczniów. Na przestrzeni ostatnich lat, do jej uszu dotarło wiele wieści o nowych zespołach muzycznych oraz wybijających się artystach, jednakże nigdy nie udało jej się wychwycić choćby jednego znajomego nazwiska. A swych uczniów pamiętała doskonale, bez wyjątku. Gdzie zatem się znaleźli, jeśli nie osiągnęli sukcesu, którego to Lullaby tak mocno im życzyła?

Z nostalgią wzdychając ku starym czasom, dziś już sędziwa klacz ospale zajęła miejsce w swym ulubionym fotelu. Znów zapragnęła zajrzeć do starego albumu ze zdjęciami. Ze swego wczesnego dzieciństwa nie posiadała zbyt wielu wspomnień. Okolica, z której pochodziła należała wówczas do tych najbardziej zniszczonych przez chaos, najbiedniejszych regionów Equestrii. Do Manehhattanu przybyła krótko po skończeniu szesnastu wiosen, a już

po roku wyszła za mąż. Zdjęcie ślubne było pierwszą i najstarszą fotografią, która znajdowała się pośród kart albumu. Nie to, żeby cierpiała na zaniki pamięci, ale z dnia na dzień, coraz trudniej jej było przywołać w myślach tamte dni. Rozpoznanie w widniejącej na zdjęciu młodziutkiej, długogrzywej, pełnej wigoru klaczy samej siebie było nie lada wyzwaniem. Co innego jej ukochany. Towarzyszyła mu aż do samego końca jego doczesnej wędrówki i mogłaby przysiąc, że przez cały ten czas niewiele się zmienił.

Często żartowała, że dla niego czas stoi w miejscu i zastanawiała się kim będzie jego kolejna żonka, kiedy już przeżyje „tę pierwszą”. Jednakże, on odszedł wcześniej.

Jej talent znalazł swoją inkarnację w postaci uroczego znaczka dosyć późno. Kilka dekad temu, kiedy fotografia ślubna nie była zupełnie „wyprana” z odcieni szarości i bieli, a pyszczki młodej pary dały się rozpoznać, można było dostrzec, że Lullaby nie miała na swoim boku znaczka. Nie to, żeby była z tego powodu stygmatyzowana, ale martwiła się, że nikt nie zechce takiej „niczego nie potrafiącej”, zwykłej klaczy, na dodatek pochodzącej z dosyć nieciekawych okolic. Na szczęście, stało się inaczej.

Przeglądając kolejne zdjęcia, ukazujące jej pierwsze kroki pośród murów Manehattańskiej Akademii Artystycznej, pierwsze próby gry na różnych instrumentach, wspólnie spędzone z mężem i dziećmi wakacje, mało brakowało, a staruszka uroniłaby łzę.

Teraz sobie przypominała. Była jedną z niewielu studentek-matek i bardzo wiele obowiązków musiała jakoś ze sobą godzić, często rezygnując z przyjemności, czy nawet snu. Wiele razy miewała chwile zwątpienia, kiedy to czuła, że już nic jej się nie chce, że nic nie ma sensu i że od samego początku postąpiła źle. Że niepotrzebnie udawała kogoś, kim nie była. Jednakże, zawsze było coś, co w ostatniej chwili powstrzymywało ją od podjęcia najgorszej decyzji w swoim życiu. Odnajdywała to w uśmiechach swoich dzieci, ramionach ukochanego, czy też własnej muzyce.

Dziś wiedziała, że tamte dni, pełne trosk, wyrzeczeń i ciężkiej pracy, wcale nie były najgorszymi, a wręcz przeciwnie. Zrozumiała, że to były najlepsze lata jej życia, które już nigdy nie powrócą.

Niespodziewanie, dźwięk dzwonka przerwał staruszce nostalgiczną podróż do przeszłości. Zamykając album i odsyłając go na półkę, skierowała swe zmęczone oczy w stronę antycznego zegara ściennego. Było wczesne popołudnie. Za oknem wciąż sypał śnieg, ku uciesze najmłodszych mieszkańców miasta i irytacji starszych, którzy to w codziennym przedzieraniu się przez zaspy i odśnieżaniu nie widzieli niczego zabawnego.

Po raz wtóry stając w szranki z bólem stawów, Lullaby zwlekła się z fotela, po czym pomału ruszyła ku frontowym drzwiom. Człapała z mozołem, uważając by się nie potknąć. Skrzywiła się na samo wspomnienie ostatniego upadku, po którym to konieczna była hospitalizacja.

Pamiętała tamten czas aż za dobrze. Wówczas, kiedy tak leżała w szpitalnym łóżku i patrzyła się w sufit, każdego dnia odwiedzała ją pewna klaczka. Ta sama, która już od przeszło roku bardzo pomagała staruszce w codziennych obowiązkach, osładzając nieco gorzką rzeczywistość. Dziś znów przyszła zobaczyć się ze starą Lullaby. Ubrana była w białą kurteczkę z różowym kołnierzykiem i rękawkami, jej szyję okalał wełniany szaliczek, zaś na głowie nosiła czapeczkę z pomponikiem. Uśmiechnęła się, kiedy staruszka wreszcie otworzyła drzwi.

– Zdrowych i wesołych świąt, prze pani!

Na te słowa, serce Lullaby natychmiast napełniło się ciepłem i radością. Chodź wzrok od dłuższego czasu płatał jej rozmaite figle, słuch wciąż miała bardzo dobry. Klaczka ta zwała się Silkflake i ledwie kilka dni temu ukończyła czternaście lat, z czego była bardzo dumna. Pani Harpstrings była jednym z gości na jej przyjęciu.

– Bardzo, bardzo dużo szczęścia i rodzinnego ciepła! – dodała rozpromieniona klaczka, pokazując Lullaby niewielki pakunek z kokardką. – A to dla pani! Sama zrobiłam!

– Tobie również życzę wesołych, zdrowych i spokojnych świąt malutka... – starsza klacz urwała. – Och, przepraszam. Przecież już nie jesteś malutka!

– Ale dla pani dalej mogę być! – odparła dziarsko Silkflake, przekraczając próg domu.

Młoda klaczka od razu strzepnęła z siebie świeży śnieg, po czym starannie wytarła buty. Raz-dwa odwinęła szalik, zdjęła czapkę. Nie minęło wiele czasu i na wieszaku znalazły się kolejno: kurtka, sweter, drugi sweter i bluzka. Spoglądając w lusterko, Silkflake spostrzegła swoją czarną grzywę, która po zdjęciu czapki i swetrów naelektryzowała się tak mocno, że każdy kosmyk sterczał w inną stronę. Niezbyt jej się to podobało, lecz nie chciała tracić na to cennego czasu. Nie zwlekając ani chwili dłużej, Silkflake wręczyła pani Harpstrings swój prezencik. Starsza klacz z uśmiechem na pyszczku przyjęła go, lecz zdziwiła się, wyczuwając wilgoć.

– Um... Upadłam dwa razy – wyznała ze skrucą czarnogrzywa. – Za pierwszym razem złapałam, ale za drugim wpadło mi w śnieg. Ale chwilę temu było jeszcze ciepłe!

Słyszając to, Lullaby zabrała się za rozpakowywanie pakunku. Była ciekawa co też takiego przyniosła jej Silkflake. Wiedziała, iż młoda klacz wszystkie podarki wykonywała własnymi kopytkami. Słyszając zapewnienie, że jeszcze chwilę temu to było „ciepłe”, nabrała pewnych domysłów. Jak tylko ozdobny papier ustąpił, wszystko się wyjaśniło.

Tym, co zapakowała Silkflake, było średnich rozmiarów, aczkolwiek zauważalnie zniekształcone i w kilku miejscach jakby „wybuchnięte” ciasto czekoladowe z kakaową posypką i orzechami.

– Trochę mi kształt nie wyszedł, pewnie za szybko mieszałam składniki... – zaczęła tłumaczyć Silkflake, obawiając się, że pani Harpstrings nie spodoba się prezent. – No i trochę spanikowałam, kiedy nagle zaczęło tak bardzo rosnać... A mama mnie przestrzegała...

– To jest... Wspaniałe! – zawołała radośnie Lullaby, delikatnie przykładając nos do powierzchni ciasta. – Pachnie bardzo ładnie. I ma taki oryginalny kształt! No, no... Jesteś naprawdę zdolna, malutka.

Posyłając ciasto na stolik, zaś z kuchni przywołując dzbanek z gorącą herbatą oraz dwie filiżanki, pani Harpstrings w podzięcie pogładziła swego gościa po grzywie. Silkflake od razu odetchnęła z ulgą. Uściskała starszą klacz, ale niezbyt mocno, by niechcący nie sprawić jej bólu. Choć na pierwszy rzut oka Lullaby trzymała się całkiem nie najgorzej, to jednak prawda stanowiła, iż była to niewielka, krucha staruszka, której zdrowie dalekie było od dawnej formy.

– Za chwileczkę skosztuję – zapowiedziała klacz, zapraszając Silkflake do salonu. – Ty też, nie zapomnij się poczęstować – mruknęła ochoczo, nalewając do filiżanek gorącej herbaty z cytrynką.

Uśmiechając się pogodnie, Silkflake zajęła miejsce przy stoliku. W napięciu czekała, aż pani Harpstrings odkroi sobie kawałek upieczonego przez nią ciasta. Bała się, że coś sknociła i wypiek nawet w połowie nie będzie przypominał czekoladowego ciasta jej mamy. Odetchnęła z ulgą widząc, że starszej klaczy jednak smakowało. Na początku pomyślała, że to tylko przez grzeczność, lecz po tym jak sama spróbowała, jej wątpliwości zostały ostatecznie rozwiane.

Kolejne gryzy stawały się coraz bardziej łapczywe, aż w końcu na talerzyku pozostały już tylko same okruszki. Klacz czym prędzej zebrała je kopytkiem, po czym wszystkie starannie zlizwała. Nie mogła się nadziwić, że wyszło jej aż tak dobrze. Goszcząc u pani Harpstrings, czuła się swobodniej niż we własnym domu. Przy rodzinnym stole, pod czujnym okiem zasadniczej matki, takie zjedzenie czegokolwiek z kopyta nie zostałoby skomentowane zbyt przychylnie.

– No i widzisz, dziecko? – odezwała się Lullaby. – Sama nie zdajesz sobie sprawy jak wiele potrafisz. Bardzo ci dziękuję, że pamiętałaś.

– Drobiazg – odparła spokojnie Silkflake, tuż zanim powędrowała wzrokiem ku wiszącym nad kominkiem fotografiom. Od razu zauważyła, że zostały przestawione. – Znowu pani wspominała?

– Zgadłaś.

– Mhm – przytaknęła czarnogrzywa, spijając kilka łyków herbaty. – A tak poza tym, jak się pani dziś czuje?

– Tak sobie – mruknęła Lullaby, wygodniej usadawiając się w fotelu. – Ostatnio strasznie mnie boli grzbiet. Pewno z powodu nadejścia zimy. Ciśnienie się zmienia i w ogóle...

– Skoro mowa o zimie... Jakie ma pani plany na święta w tym roku? – ciekawiła się Silkflake. – Bo wie pani co? Ostatnio było mi trochę przykro, że cały wigilijny wieczór spędziła pani zupełnie sama.

Pani Harpstrings skrzywiła się i spojrzała w okno. Oczywiście, rozumiała swe latorośle, które zajęte swoimi sprawami po raz kolejny z rzędu odmówiły przyjazdu na święta do starej matki. Westchnęła smutno, przywołując w myślach ciągle te same słowa, które usłyszała nie tylko przy okazji minionych świąt, ale również kolejnych jej urodzin, imienin, czy rocznic. Choć starała się być wyrozumiała, nadal było to dla niej trudne do przełknięcia. Tak długo nie widziała swych dzieci, tak dawno temu miała przyjemność rozmawiać ze swymi niedawno odrośniętymi od ziemi wnucząt, że na samo podniesienie tej kwestii, po jej pomarszczonym policzku spłynęła łza.

– Och... Przepraszam panią... – szepnęła klaczka, zakrywając kopytkiem usta. – Nie chciałam pani urazić. Ja tylko chciałam...

– Ależ skąd, nic się nie stało, malutka – odparła staruszka, ocierając pyszczek. – Skąd miałaś wiedzieć?

– Um... Powinnaś była się domyślić. Odwiedzam panią dosyć często... I nigdy nikogo u pani nie widziałam... Moim zdaniem to nie w porządku – dodała po chwili.

Starsza klacz tylko na chwilę odwróciła głowę ku Silkflake. Czuła, że czarnogrzywa nazbyt przejmowała się jej losem, zapominając o sobie. Doceniała jej towarzystwo i dobre serce, ale nie chciała być dla niej ciężarem. Zresztą, obilo jej się o uszy, że matka granatowej klaczki, Vibrant Blossom, była bardzo zaborcza i za każdym razem, kiedy jej najmłodsza latorośl spieszyła komuś z pomocą, krytycznie kręciła głową. Wszystko dlatego, że nie wierzyła w altruizm. Bała się, że cwane kucyki będą jej córkę ciągle, stale, wiecznie wykorzystywać, bo przecież nigdy nikomu nie odmówi.

– Dlaczego nikt z rodziny pani nie odwiedza? Może mogłabym jakoś pomóc? Może do nich napiszę! – zaproponowała ochotczo Silkflake.

Słyszając te słowa, pani Harpstrings potrząsnęła głową. To właśnie było to, czego w pewnym sensie się obawiała, jednak z drugiej strony, uwielbiała ten błysk młodzieńczego zapału w jej oczach. Zupełnie jak przed laty, kiedy pośród tych czterech ścian hasały jej własne dziatki. Wiedziała już, że klaczka nie zrezygnuje z pomocy. Nie chciała jej powstrzymywać, ale też nie chciała, aby po powrocie do domu na Silkflake czekała sroga bura.

– Nie, nie musisz tego robić. Wszystko jest dobrze. Przyzwyczaiałam się – mruknęła staruszka.

– Nie, to nie w porządku! W święta nikt nie powinien być sam! Proszę, niech mi pani pozwoli pomóc, ja coś wymyślę! Co może pani stracić?

– Malutka, już teraz bardzo, bardzo ci dziękuję – Lullaby dokończyła jeść ciasto, po czym wstała z fotela. Przez jakiś czas spacerowała sobie po pomieszczeniu, a deski cicho skrzypiały pod jej kopytami. – Myślę, że jeżeli moje dzieci mnie nie odwiedzają, na pewno mają jakiś ważny powód. A ja nie chciałabym się narzucać. To wszystko.

– Nie rozumiem. Co może być ważniejszego od najbliższej rodziny?

Pani Harpstrings westchnęła przeciągle, odwracając się ku siedzącej przy stole Silkflake. Spojrzała na nią z podziwem, a po jej policzku po raz drugi spłynęła łza.

– *Jak to dobrze, że ciebie mam* – pomyślała sobie.

* * *

Kiedy Silkflake wróciła do domu, był już wieczór. Konkretniej, godzina dziewiętnasta. Granatową klaczkę ominęła zatem kolacja, kazanie dominującej matki oraz pogaduszki o tym, jak to Rosemary miała niebawem przyjąć zaręczyny swego zalotnika. Oczywiście, ów jegomość był kolejnym „odpowiednim i ustosunkowanym” ogierem, wyciągniętym z kapelusza przez Vibrant Blossom. Silkflake bardzo tego nie lubiła, podobnie zresztą jak jej siostra, która pewnego wieczora raczyła uchylić jej rąbka, że zaręczyny zamierza publicznie odrzucić, specjalnie na złość matki.

Była jednak inna sprawa, która systematycznie skłaniała klaczkę do tego, by częściej odwiedzać panią Harpstrings i zostawać dłużej na kółku krawieckim. Za każdym razem, kiedy Blossom opowiadała Rosemary o jej zbliżającym się wielkimi krokami ślubie, weselu i „nowym życiu”, nie omieszkala męczyć podobnymi mecyjami Silkflake. Klaczka była pewna, że jej „świetnie wszystko organizująca” matula już miała przygotowanego kochasia,

który tylko czekał, aż ona skończy te szesnaście lat i zostanie mu przedstawiona. Ale czarnogrzywa w ogóle tego nie chciała. Wzorem starszej siostry, chciała sama podjąć decyzję, kiedy kogoś sobie poszuka i kiedy zdecyduje się na zawarcie związku małżeńskiego. No a poza tym, nie uważała, że mądrze będzie przerywać szkołę, by rozpocząć życie na garnuszku u męża.

– Ty to robisz specjalnie! – zawołała z salonu Vibrant Blossom, słysząc swą najmłodszą córkę.

– Byłam u pani Harpstrings, tak jak ci mówiłam!

Zupełnie spokojna Silkflake zdjęła ośnieżone buciki, potem kurteczkę, szalik i czapeczkę. Otrzeпаła się, po czym w pośpiechu podjęła próbę zapanowania nad ponownie naelektryzowaną grzywą. Wiedziała, że jeśli pokaże się matce w takim stanie, ta zabierze ją do łazienki i zacznie czesać. Tego też nie znosiła.

– Zobaczysz, jak tak dalej pójdzie, ojciec będzie cię odbierał ze szkoły, każdego dnia! Mam rację?

– Oczywiście – rzucił beznamiętnie rozpostarty nad gazetą Stark Archer.

– Mamo, nie mam już pięciu lat! Sama mogę...

– Nie masz pięciu lat, ale tak się zachowujesz! – Vibrant Blossom przerwała wypowiedź swej córki. – Jestem w stanie zrozumieć te twoje kółko krawieckie, ale ślęczenia u tej staruszki za nic w świecie!

– Ja chcę jej tylko pomóc... Potowarzyszyć. Ona jest zupełnie sama, a przecież idą święta – tłumaczyła granatowa klaczka, krocząc w stronę salonu.

– Jest sama, ale również zmęczona. Jak chcesz pomóc, to daj jej święty spokój – upierała się klacz.

Czuając gęstniejącą atmosferę w pomieszczeniu i nadchodzące spięcie między najmłodszą córką a żoną, Archer odłożył gazetę. Równocześnie, zdjął z nosa okulary. Uznał, że był to odpowiedni moment na zabranie głosu i bynajmniej nie po to, by rzucić kolejnym „oczywiście”.

– Uważam, że to bardzo ładnie, że zaglądasz do pani Harpstrings – zaczął, mimo gniewnego grymasu Blossom. – Ale sama rozumiesz, co za dużo, to niezdrowo. Masz przecież swoje sprawy, szkołę...

– Głównie szkołę! – warknęła klacz. – Ja natomiast uważam, że wcale nie musisz, a nawet nie powinnaś wtrzywać się w życie samotnych staruszek, chorych żrebaków, bezdomnych kucyków i czego tam jeszcze sobie nie wymyślisz.

– Ależ kochanie, przecież...

– Nie powinna i kropka! Ma myśleć o swojej przyszłości, inni niech sami się sobą zajmują! – krzyknęła drapieżnie Vibrant Blossom.

Zrezygowany postawą wścieklej jak osy żony, Archer przewrócił oczami, po czym wrócił do lektury. W odpowiedzi rzucił tylko chłodne „*tak kochanie, masz absolutną rację*”. Tymczasem, Blossom ruszyła naprzeciw Silkflake. Domyślała się, dlaczego przed chwilą słyszała kroki, zanim nagle zwolniły do tego stopnia, że klaczka szła i szła, i dojść do salonu nie mogła. Zmarszczyła brwi na widok, jaki zastała w korytarzyku.

– Jak ty wyglądasz! Jesteś klaczą z porządnego domu, czy żywą szczotką do czyszczenia kominów?! – zdenerwowała się Blossom. Natychmiast złapała swą latorośl. Wzburzona, oglądała ją z każdej strony i potrząsała, jak lalką. – Młoda damo, za minutę widzę cię w łazience! Jak cię doprowadzę do porządku, dopiero wtedy dostaniesz jeść! – oświadczyła stanowczo.

– Nie! Tato, powiedz coś! – zaprotestowała Silkflake.

– Słuchaj się matki – mruknął na odczepnego rodziciel.

Zmartwiona klaczka chciała zaprotestować jeszcze raz, lecz Vibrant Blossom ponownie ją zdyscyplinowała. Zaciekawiona odgłosami kłótni i jękami, Rosemary wyjrzała z pokoju.

Starsza siostra Silkflake była pierwszą z rodu, która z premedytacją robiła inaczej, niż jej mówiono. Ponieważ cechowała się większą pewnością siebie, a także pewną dozą wrodzonej zawadiackości, Vibrant Blossom w pewnym momencie odpuściła, ograniczając swą kontrolę do doboru męża dla niej oraz dogadywaniu się z przyszłymi teściami, w międzyczasie „stanowczo doradzając” terminy. Silkflake nie potrafiła jeszcze się postawić, raz a dobrze. Matka wyczuwała to bezbłędnie i nierzadko dawała upust swym ambicjom ze zdwojoną siłą.

Ale Rosemary wiedziała, że z powodzeniem zaszczepiła w swej siostrze przekonanie, że nie jest niczyją zabawką i sama może o sobie decydować. Zwłaszcza, kiedy za jakiś czas będzie się rozchodzić o tak ważne sprawy jak zakładanie własnej rodziny. Pąsowa klacz o bordowej grzywie z rdzawymi pasemkami popchnęła drzwi, a następnie skierowała swe kroki ku wciąż „walczącej” z Silkflake mamie. Spokojnie położyła kopytko na jej ramieniu, zwracając na siebie uwagę.

– Mamo, a może ja ją uczeszę? – zaproponowała.

Vibrant Blossom zdawała się być niepokieszona tym pomysłem, ale w końcu się zgodziła. Chciała przede wszystkim, aby grzywa jej córki wreszcie została uporządkowana, a

ponieważ młoda nie protestowała, chyba niemądrze było znowuż drzeć koty i ryzykować migreną.

Zadowolona z wybawienia klaczka czym prędzej pomaszerowała do dzielonego z Rosemary pokoju. Od razu usiadła na krzeselku, tuż przed wspólną toaletką. Zaczekała, aż siostra poda jej szczotkę, po czym zabrała się za układanie grzywy.

– Wiesz co? – odezwała się pąsowa klacz, zamykając drzwi. – Czasem to się zastanawiam, jak to się stało, że nasi rodzice w pewnym momencie doszli do wniosku, że chcą razem brnąć przez życie.

– Jak to? Mama powiedziała: „*A teraz masz się ze mną ożenić!*”, a tata powiedział: „*Tak kochanie, masz absolutną rację*”. I już – odpowiedziała Silkflake z uśmiechem na pyszczku.

– Taa... Kiedy cię jeszcze nie było na świecie, Ember opowiadała jak kiedyś przyłapała ich na kłótni. I wiesz co? Tata podobno krzyczał.

Sparkling Ember była najstarszą z sióstr. Poddając się woli matki, jako osiemnastoletnia panna wyszła za mąż, rozpoczynając nowe życie. Na całe szczęście, nie zapomniała o rodzeństwie i wpadała z wizytą całkiem często. Aczkolwiek, Silkflake każdych odwiedzin trochę się bała. Wszystko za sprawą ewentualności, że w każdej chwili jej starsza siostra mogła zająć w ciążę. Oczywiście, nowy członek rodziny to zawsze ogromne szczęście, a Silkflake została by ciocią, ale to by oznaczało, że jako matka, Ember miałaby mniej czasu na odwiedziny. Słuszne były słowa jednej z nauczycielek, iż „*wszystko ma swoje plusy dodatnie i plusy ujemne*”.

– A jak ostatnio widziałam się z Whispy, wspominała, że musi sobie mężusia na nowo wychować. Biedny koleś – mówiła dalej Rosemary.

Subtle Whispy była druga w kolejce. Vibrant Blossom postrzegała jako swój wzór klaczy, toteż zawsze starała się ją naśladować. Z kolei ojciec, Stark Archer, był dla niej wzorem ogiera. Decyzję o „nowym wychowaniu” wybranka zapewne podjęła dlatego, że też chciała mieć męża zgadzającego się na wszystko, znającego swoje miejsce.

Akurat z Whispy Silkflake dogadywała się nie za dobrze, ale i tak żałowała, że już nie mieszkała w rodzinnym domu. Z tych samych powodów obawiała się, że ona również pewnego dnia nie będzie miała czasu dla rodziców, sióstr, zapomni o nich. Między tymi przemyśleniami nieustannie przewijała się sylwetka pani Harpstrings. Silkflake nie życzyła nikomu takiego losu i w pewnym sensie każdą wyprowadzkę utożsamiała z kolejnymi stopniami ku smutnym czterem ścianom, pośród których nie było nikogo, poza nią. Bardzo się ucieszyła, kiedy Rosemary powtórzyła to, co zadeklarowała już jakiś czas temu.

– Nie mogę się doczekać! – mówiła z entuzjazmem. – Nie mogę się doczekać miny tego kolesia, jego nowobogackich rodziców, no i mamy! – zachichotała złośliwie. – Wszyscy będą patrzeć, a ja powiem „nie”! I niczego nie będę żałować!

– Fajnie – mruknęła granatowa klaczka, kończąc ze swą grzywą. – Ale chyba... Kiedyś się wyprowadzisz?

– A co, tak cię korci by mieć cały pokój dla siebie?

– Nie! – Silkflake energicznie potrząsnęła głową, tuż zanim zeskoczyła z krzeselka. – Po prostu nie chcę zostać tu sama. Dobrze się czuję, kiedy jesteś obok mnie... Jakbym była odrobinę silniejsza.

Pąsowa klacz uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

– A no właśnie! Co słychać u pani Harpstrings? Chyba nie za dobrze, hm?

Silkflake kiwnęła głową.

– Nikomu tego nie życzę. Wierzę, że nikt nie chciałby na starość zostać sam jak to kopyto, o! – rzekła czarnogrzywa. – A jak tak sobie przypominam, jak wyprowadzała się Ember, potem Whispy, czuję się trochę jak pani Harpstrings.

– To znaczy?

– Czuję się tak, jakbym pomału traciła najbliższe mi kucyki.

Rosemary zdmuchnęła sprzed oka grzywkę. Spojrzała na młodszą siostrę z politowaniem, po czym padła na grzbiet. Zatopiła się w miękkim materacu, rozprostowując kończyny.

– Tak to już jest, jak się „wmęża” po kolei córki do bogatszych rodzin, by coś tam skubnąć i szybciej kupić dom. Ale przesadzasz. Nikogo nie tracisz, wręcz przeciwnie – mówiła łagodnie bordowogrzywa. – A jeśli chcesz pocieszyć panią Harpstrings, najlepiej będzie, jak nadal będziesz ją odwiedzać. Albo jakbyś na przykład... – klacz zamyśliła się na moment, budząc u Silkflake ciekawość. – A gdyby tak zaprosić ją na wigilię? Albo przeddzień wpaść do niej? Nie chodzi mi o zwykłą wizytę! Wiesz, przyszłybyśmy z ciastami, prezentami, co by staruszka wreszcie z kimś te święta spędziła, ale tak naprawdę!

– Um... Już dałam jej prezent i...

– No to dasz jeszcze raz! Co ty na to?

Swego czasu, Silkflake wpadła na podobny pomysł. Nie zrealizowała go, gdyż nie wierzyła, że uda jej się przekonać matkę. Zresztą, już wtedy, gdy Lullaby zjawiała się na jej

przyjęciu urodzinowym, Blossom wydawała się wzburzona. A Wigilia Serdeczności to nie były urodziny. To nie Silkflake była królową uroczystości, ale jej mama. Był to czas, kiedy wszystko musiało być „jeszcze lepiej zorganizowane”, „uporządkowane”; rodzinna miała ładnie wyglądać przy stole, atmosfera miała być odświętna i podniosła, bo tak było przyzwyczajenie. No i obowiązkowe tournée po starszych córkach i teściach. Ogółem, nuda. Nie licząc prezentów oczywiście.

– Hej, co to za smutna mina? – zdziwiła się Rosemary. – Jak mama się nie zgodzi, to pójdziemy tylko we dwie, ja to jakoś wytłumaczę. To będzie nasz sekret, ok?

– Mhm – zgodziła się Silkflake.

– Czyli ustalone. I naprawdę, nie dramatyzuj. Nie tracisz rodziny. Ba, ona ciągle się powiększa – pąsowa klacz mrugnęła figlarnie w stronę siostry. – Zresztą, sama kiedyś zobaczysz. Jak się dobierzesz, nigdy nie będziesz ani sama, ani smutna. No i skoro jest ci przykro z powodu pani Harpstrings, o której dziatwa zapomniała, to sama rób odwrotnie. Skoro domyślasz się jaki to ból...

– Domyślam się, aż za dobrze. Ja na pewno o was nie zapomnę.

– Nawet, jak już będziesz miała własne źrebięta?

To pytanie wytrąciło Silkflake z rytmu. Zarumieniła się na myśl o samej sobie, pchającej wózek albo zmieniającej pieluchę maleństwu. Dostatecznie długo postrzegała życie rodzinne jako niewinną „zabawę w dom”, ale im starsza była, im częściej matka przygotowywała ją do rychłego wkroczenia w dorosłość, tym bardziej czuła, jakie to krępujące.

– Ja to na pewno nie zgodzę się związać z nikim, kogo mi podsunie mama. Sami nudziarze, albo niskie, małostkowe bizneskuce – mówiła dalej Rosemary. – Serio, nie rozumiem jak można być z ogierem niższym od siebie o głowę. To wygląda... Dziwnie.

Coś w tym było. Ilekroć Silkflake przypominała sobie bajki o więzionych w posępnych basztach księżniczkach, zawsze strzegł ich jakiś stwór. Nieważne spod czyjego pióra wyszła historia, zawsze był tam również bohater, w formie wysokiego, doskonale zbudowanego i niezłomnego księcia. Lśniący w słonecznym świetle zbroja oślepiała każdego, a miecz przebijał skórę dowolnego monstrum. Podobnie było w komiksach, albo filmach, z tym że zbroja często zastąpiona była kolorowym strojem lub peleryną. Stosunkowo niedawno klaczka przerabiała ten temat w szkole. Rozchodziło się o kwestię wpływu fikcyjnego świata na codzienność; jakie cechy powinny posiadać nieistniejące postacie by móc się z nimi utożsamiać, by chcieć nimi być.

Oczywistym było, że klacze chciały być księżniczkami, choć nie zawsze tymi, które bez ustanku pozostawały w opałach, biernie oczekując na zjawienie się księcia. Zdarzało się,

że o wiele bardziej imponowały im te samodzielne władczynie, pewne siebie, a niekiedy bezwzględne. W przypadku ogierów też bywało różnie. Jedni chcieli być książętami, drudzy diukami, jeszcze inni potworami. Tłumaczyli to super mocami, gigantycznymi skrzydłami, czy też po prostu „coolerskim wyglądem”.

Silkflake nigdy nie przepadała za tego typu zagadnieniami. Rzeczy typu „*kim zostaniesz gdy dorosniesz*”, „*kto jest twoim autorytetem*”, czy „*o co byś poprosiła, gdyby miało się spełnić jedno twoje życzenie*”. Skąd granatowa klacz miała to wiedzieć? Kiedyś chciała być malarką, potem florystką, a teraz czuła, że najbardziej pociąga ją szycie, przędzenie jedwabiu. Choć znajdowało to odzwierciedlenie w jej uroczym znaczku, nie była pewna, czy niebawem nie zmieni zdania. Z autorytetami było podobnie. Jednego tylko klaczka była pewna.

O co by poprosiła, gdyby dostała jedno życzenie? Oczywiście o więcej życzeń! Przecież to logiczne!

– A powiedz mi tak szczerze. Masz już w głowie swój ideał? – spytała z zaciekawieniem Rosemary. Uśmiechnęła się widząc u siostry rumieniec.

– Najpierw ty! – rzuciła natychmiast Silkflake.

Pąsowa klacz znów zdmuchnęła sprzed oczu grzywkę. Zastanowiła się przez chwilę, wodząc wzrokiem po suficie. Chciała odpowiedzieć w taki sposób, by nie zdradzić zbyt wielu szczegółów.

– Nie musi być obrzydliwie bogaty, ani elokwentny. Wystarczy jak będzie kumaty, wyższy ode mnie i wierny. Twoja kolej!

– Ja to bym chciała pegaza, przy którym czułabym się bezpieczna – rzuciła zawstydzona Silkflake, pospiesznie udając się na posiłek.

– Pegaza? Chyba żartujesz! – klacz poderwała się z materaca. – Przecież pegazy są takie upierdliwe, z nimi się nie da wytrzymać!

Rosemary nie uzyskała od siostry żadnej riposty. Tak jak Silkflake nie przepadała za bardzo za jednorożcami, tak ona niechętnie przebywała w towarzystwie skrzydlatych kucyków. Wszystko przez to, że cierpiała na lęk wysokości, a w nie aż tak dalekiej przeszłości przydarzył się pewien incydent. Dwaj koledzy z podwórka, pegazy, pomyśleli sobie, że fajnie będzie dla żartu porwać Rosemary i unieść w przestworza. Tak też postąpili. Owszem, oni mieli z tego niezły ubaw, lecz pąsowej klaczy bynajmniej nie było do śmiechu.

Od tamtej pory wszystkie pegazy stały się dla niej pyszałkowatymi, nieodpowiedzialnymi gagatkami, których najlepiej było unikać. Wciąż dostawała ciarek na

grzbiecie, ilekroć tylko przypominała sobie tamten widok. Kucyki małe niczym mrówki, zlewające się ze sobą dachy domów, chmury na wyciągnięcie kopyta. Ale najgorsza była świadomość, że w każdej chwili mogła spaść. Coś przerażającego.

Tymczasem, Silkflake zdążyła zasiąść przy kuchennym stole i zabrać się za odgrzaną kolację. Jak zwykle, podczas kiedy ona pałaszowała, Vibrant Blossom spacerowała w tę i na zad, głosząc swe „mądrości”. Nic nowego. Zupełnie, jakby czarnogrzywa nie wiedziała ile ma lat, że musi ukończyć szkołę, ale tylko podstawy podstaw, uważać na siebie, być odpowiedzialna, no i oczywiście o nic się nie martwić. Bo przecież wszystkie jej potrzeby najlepiej znała matka.

Ale Silkflake zamierzała podążyć śladem Rosemary i samodzielnie poznać przyszłego męża. A przedtem spełnić kilka swoich marzeń, znaleźć pracę, a może nawet porwać się na jakąś szkołę wyższą. Możliwości było mnóstwo, ale nie chciała rozmawiać o tym teraz. Zamiast tego zdecydowała się opowiedzieć o pomyśle swej siostry. Spokojnie wytłumaczyła, że nie będzie to żaden problem, że chodzi tylko o sprawienie przyjemności starszej klaczy, skazanej na samotne święta. Odpowiedź matki nie zaskoczyła jej ani trochę.

– Przestań wечно zamartwiać się o innych! Ciągłe wszystko bierzesz do siebie, wyobrażasz sobie nie wiadomo co! Masz ważniejsze rzeczy na głowie!

– Ale mam... Co nam szkodzi? Tylko do niej zajrzemy, złożymy życzenia, porozmawiamy... To wszystko. Z niczym się nie spóźnimy – tłumaczyła granatowa klaczka.

– Dziecko, zrozum – prosiła wciąż wzburzona Blossom. – Ta troska o innych za bardzo cię pochłania. Kucyki zaczną cię wykorzystywać, zrozum to. Spójrz na panią Harpstrings. Zawsze żyła dla innych, a teraz? Nawet jej własne dzieci o niej nie pamiętają.

– A wiesz czemu? Bo zaczęły myśleć tak jak ty! – rzuciła oskarżycielskim tonem Silkflake. – Zaczęły myśleć, że wystarczy tylko zajmować się sobą, nie pomagać nikomu, tylko ciągle pilnować własnego nosa! To jest... Straszne!

Vibrant Blossom pokręciła głową, po raz wtóry przykładając kopytko do skroni. Irytowała ją naiwność córki oraz to, jaką była idealistką. Ale nie miała już siły się denerwować.

– Czas nie stoi w miejscu, moja droga. Dzieci uczą się, dorastają, a w pewnym momencie zostawiają rodziców i zaczynają własne życie. I nie ma w tym nic strasznego – mówiła. – Ja nie przeczę, że warto pomagać innym. Ale niestety, ty nie potrafisz odmawiać, a nie każdy na pomoc zasługuje.

– Doprawdy?

– Tak. I naprawdę, twoja dziecinność zaczyna mnie wpień – syknęła Blossom, zerkając gniewnie w stronę córki. – Nie chcesz się słuchać, a tylko ja wiem co będzie dla ciebie najlepsze.

Teraz to Silkflake się zdenerwowała.

– Mów sobie co chcesz mam, ale ja o tobie nigdy nie zapomnę. Nawet kiedy będę miała swoją rodzinę.

– Ależ będziesz miała, będziesz! – wtrąciła rodzicielka.

– Oczywiście, że tak. I sama ją założę, kiedy będę tego chciała!

Blossom aż zadrżały kopyta. Następna rebeliantka, która chciała sama o sobie decydować. Zdaje się, że na sam koniec dnia szykowała się niezła burza.

* * *

Za oknem mroźna zawieja, a wewnątrz sali miłe ciepłko. Oplatające ciało uczucie przytulności potęgowane było przez smak gorącej czekolady. Uciekając od zaborczej matki oraz nieprzyjemnych wspomnień, granatowa klaczka z uporem maniaczki skupiała całą swoją uwagę na szyciu. Uwielbiała dodatkowe zajęcia z krawiectwa. O przyjemny uśmiech przyprowadzały ją również byle drobnostki. Podobały jej się odgłosy towarzyszące pracy maszyny do szycia, bawiło ją nawleknięcie igły, o temperowaniu ołówka przed szkicowaniem nie wspominając. Przeważnie efekt końcowy jej pracy odległy był od koncepcji, ale nie przejmowała się tym ani trochę. Powtarzała sobie, że ciągle się uczy, a najlepiej jest się uczyć na błędach.

Jedynym co burzyło jej dobry nastrój, był czas. O odpowiedniej porze, Silkflake musiała zakończyć pracę i wrócić do domu, gdzie najpewniej po raz kolejny zetrze się ze swoją rodzicielką. Poza nią, w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze jej dobra przyjaciółka, klacz jednorożca o imieniu Vanilla. Silkflake zawsze mogła się przed nią wygadać, ze wszystkiego co leżało jej na sercu. Tego dnia, nie omieszkła podzielić się relacją ze swej ostatniej sprzeczki z matką. Vanilla знаła totalnie inną rzeczywistość i wielu sytuacji po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić. Często wybałuszała oczy i kręciła głową. Wiedziała jednak, że jej przyjaciółka mówiła poważnie.

– Naprawdę, nie rozumiem twojej mamy. To znaczy, na pewno się o ciebie troszczy i chce dla ciebie dobrze, tylko nie zdaje sobie sprawy, że przesadza.

– „Przesadza” to mało powiedziane. Na pewno wybrała już dla mnie męża, teściów, nowy dom, zawód... Nie zdziwiłabym się, gdyby jeszcze wypisała sobie ile wnuków mam jej dać – wypowiadając ostatnie zdanie, Silkflake delikatnie się zarumieniła. Nie chciała tego,

ale to się działo mimo jej woli. Vanilla wszystko rozumiała. Wszak to były prywatne, bardzo ważne sprawy. – Czasami, to nawet podskakuję, kiedy słyszę dzwonek do drzwi. Niespodziewani goście, akurat. Jak ja nie cierpię swatów...

– Sama nie wiem. Moi rodzice tylko mi doradzają. Szanują to, że sama chcę podejmować decyzje – mówiła. – Myślę, że mi ufają. Zresztą, bardzo często rozmawiali ze mną o odpowiedzialności, więc chyba niczym ich nie zaskakuję.

– No widzisz. Moja mama rzadko kiedy ze mną rozmawia, zwłaszcza na temat dorosłości. Ona zawsze musi mieć wszystko „*doskonale zorganizowane*”! – żaliła się granatowa kłacz.

– A może jednak niepotrzebnie się przejmujesz? Zrób tak, jak twoja siostra. Postaw się. Przecież nic ci się nie stanie!

– Tam myślisz? Może... – czarnogrywa nie ukrywała swych wątpliwości. – Ale to i tak będzie trudne. Żyć z nią pod jednym dachem, znosić te nerwy, głupie tłumaczenia... To naprawdę nie jest przyjemne.

– Domyślam się.

– Źle mi z tym, że tak ostro krytykuje to, w co wierzę. Wiecznie coś jej się nie podoba. Ciągłe słyszę, a to, że jestem źle ubrana, źle uczesana, albo za dużo pomagam innym – kontynuowała Silkflake. – Ostatnio na wieść o tym, że zamierzam zamienić dwa ostatnie lata szkoły na kurs, mama zareagowała alergicznie!

Vanilla w skupieniu słuchała swej przyjaciółki. W pewnym momencie, obie kłaczę usłyszały kroki. Jak się okazało, do warsztatu weszła jedna z nauczycielek, organizatorka kółka krawieckiego. Była to kłacz w średnim wieku, ubrana nieco staroświecko, lecz schludnie. Zerkając na dwie przyjaciółki, poprawiła swe okulary.

Silkflake uśmiechnęła się i pokazała jej swoje najnowsze dzieła. Była bardzo dumna ze stworzonych przez siebie ciuszków, a także wyszytych obrazków. Podzieliła się również swymi eksperymentami. Nie miały one żadnego znaczenia użytkowego, służyły jedynie zaspokojeniu ciekawości. Nauczycielka znała granatową kłacz bardzo dobrze, wiedziała o jej artystycznej duszy. Pochwaliła ją. Chcąc podbudować wyraźnie strapioną uczennicę, poświęciła nieco więcej czasu na konstruktywną krytykę oraz kilka dobrych słów. Chciała, aby Silkflake poczuła się zauważona, doceniona za swą ciężką pracę. Przechodząc do stanowiska pracy Vanilli, podziękowała jej za to, że pomaga przyjaciółce. Radowała się za każdym razem, kiedy na jej oczach tworzyła się przyjacielska więź między kucykami. Zważywszy na to, że w Manehattanie na ogół się konkurowało i to do utraty tchu, przyjaźń była nie lada osiągnięciem.

– Doskonale się spisałyście. Niestety, już pora – oznajmiła nauczycielka, wskazując na zegar. – Pozostałe kucyki już poszły do domów. Proszę, posprzątajcie swoje stanowiska.

Silkflake i Vanilla posłusznie spełniły polecenie. Zadowolona ze spędzonego czasu, granatowa klacz nie przypuszczała, że za moment przekona się o kolejnym świadectwie, jak bardzo jej matka chciała sterować jej przyszłością i jak wiele była w stanie zrobić, byle tylko ta nie zniszczyła wymyślonego przez nią planu.

– Ekhm. Przepraszam – nauczycielka zwróciła się do granatowej klaczki. Wyglądała na zakłopotaną. – Wczoraj widziałam się z twoją mamą. Bardzo chciała zamienić ze mną kilka słów, w twojej sprawie.

– Huh? – Silkflake nadstawiła uszu.

– Twoja mama zasugerowała mi, że być może dobrze by było, abyś przestała chodzić na dodatkowe zajęcia z krawiectwa – wyjaśniła klacz.

Granatowa klaczka naburmuszyła się nie na żarty. Miała ochotę wybuchnąć, ale w obecności nauczycielki, zdecydowała się powstrzymać. Również Vanilla wydawała się być wzburzona. Jako najlepsza przyjaciółka, współodczuwała wiele emocji.

– Oczywiście, nie zamierzam cię do niczego namawiać, ani tym bardziej skreślać z listy, ale...

– Ja chcę chodzić na te zajęcia i mama nie może mi tego zabronić! – oburzyła się Silkflake.

– Oczywiście! – przytaknęła nauczycielka, zaskoczona wybuchem na co dzień bardzo spokojnej uczennicy. – Rozumiem doskonale twoją frustrację, ale nie musisz się niczego obawiać – uspokajała. – Po prostu zdziwiło mnie to, jak zażarcie twoja mama namawiała mnie do przystania na jej propozycję. Uznałam, że uczciwie będzie, jeśli ci o tym powiem. W końcu, za dwa lata będziesz już pełnoletnia.

Nawet nauczycielka dostrzegała fakt, że Silkflake nie była już niewiele rozumiejącym berbeciem, lecz wkraczającą w dorosłość klazą, która była w stanie samodzielnie decydować o swej przyszłości. Co takiego siedziało w Vibrant Blossom, że nie docierały do niej świadectwa zdrowego rozsądku córki?

– Moja droga, jeżeli masz problemy rodzinne, nie krępuj się i powiedz mi o tym. Albo swej wychowawczyni. Jesteśmy tu, by ci pomóc – dodała klacz.

– Nie, nie trzeba. Moja mama sama musi to zrozumieć – odparła czarnogrzywa.

– Spokojnie, proszę pani, ja jej pomogę – wtrąciła się nieśmiało Vanilla. Spodziewała się zdecydowanej reakcji, lecz otrzymała ciepły uśmiech.

– W to nie wątpię. To ładnie, że trzymacie się razem i pomagacie sobie nawzajem. Po prostu chciałam dać znak, że na mnie również możesz liczyć – klacz na powrót zwróciła się do Silkflake. – Myślę, że będzie dobrze, jeśli poprosisz swą mamę o szczerą rozmowę.

– Dobrze – zgodziła się czarnogrzywa.

– I pamiętaj, nie obawiaj się mieć własnego zdania. Nie obawiaj się robić tego, co lubisz i co uważasz za słuszne.

Silkflake i Vanilla przytaknęły, po czym zabrały się za porządkowanie stanowisk pracy. Bardzo szybko uprzątnęły rulony materiału, maszyny, złożyły również swoje najnowsze dziełka. Granatowa klaczka przywdziała ciepłe buty, sweter i kurtkę, pod czapkę schowała swą długą, czarną grzywę. Tuż przed wejściem do sali, czekała na przyjaciółkę. Vanilla była bardzo dokładna, toteż podwójnie sprawdziła każdą szufladę, każdą tkaninę, każdy zapięty guzik kurtki. Trochę to trwało, ale w końcu obie przyjaciółki opuściły budynek szkoły. Mierząc się z sypiącym z góry śniegiem oraz zaspami, udały się w stronę głównej ulicy.

Mróż dawał się we znaki, pomimo stosownego ubioru. Choć było popołudnie, na zewnątrz panowały ciemności. Z tego też powodu, latarnie zostały przedwcześnie włączone, z tym, że ich światło z trudem przecierało się przez mgłę i śnieg. Po głowach przyjaciółek krążyło jeszcze wiele gorących dysput, na różne tematy, lecz w takich warunkach, prowadzenie konwersacji było bardzo nierozsądne. Nie przepadały za popękanymi ustami i podrażnieniami, toteż wsadziły nosy w szaliki. Jednakże, kiedy dotarły do miejsca, w którym zazwyczaj ich drogi się rozchodziły, Vanilla zaryzykowała i mimo szalejącej zawiei, zabrała głos. Zaprosiła Silkflake do siebie. Zaproponowała ploteczki, a to wszystko przy gorącej herbacie i ciasteczkach. Granatowa klacz bez wahania przyjęła zaproszenie.

Prawdę powiedziawszy, nie spieszyło jej się z powrotem do domu. Była wściekła na swą zaboreczą matkę, a po tym, co powiedziała jej nauczycielka, była już pewna, że czeka ją kolejna bura. Zresztą, za niecałą godzinę i tak miała znów wyruszyć w miasto, celem zrobienia zakupów dla pani Harpstrings. Obiecała jej to. Biedna staruszka była aż nadto podatna na kaprysy pogody. Grypa czy, odpukać, zapalenie płuc mogły poskutkować bliskim spotkaniem z kostuchą, na co Silkflake nie miała zamiaru się zgodzić i o czym nie chciała nawet myśleć. Skoro jej własne dzieci nie kwapiły się zająć starą matką, to kto miał to zrobić?

Granatowa klaczka ubolewała nad tym, że jej mama nie rozumiała nawet tego argumentu. Nie trafiały do niej nawet deklaracje, że kiedy sama będzie przeżywać jesień życia, schorowana i słaba, to jej córka zaopiekuje się nią równie pieczołowicie. Ba, ona nie chciała o tym nawet słyszeć. Czyżby sądziła, że będzie wiecznie zdrowa i rześka?

A podobno to Silkflake bujała w obłokach...

Nie zaprzatając sobie myśli zbliżającą się wielkimi krokami awanturą, czarnogrzywa skosztowała ciepłych ciasteczek. Ciesząc się towarzystwem przyjaciółki, zanurzyła wargi w

gorącym napoju, delektując się jego cytrynowym posmakiem. Z uwagą wysłuchiwała wszystkich rad Vanilli. Czuła się szczęśliwa, mając przy sobie kogoś, komu mogła się zwierzyć. Kogoś, kto zawsze starał się podtrzymać ją na duchu. W domu kimś takim była starsza siostra, pierwsza „rebeliantka rodu”, Rosemary. Ale bardzo często była pochłonięta studium pielęgniarstwa i nie zawsze miała czas, aby w pełni jej wysłuchać.

Cóż było robić? Silkflake mogła mieć nadzieję, że zamiast siedzieć w szkole do osiemnastki, sama zdecyduje się na studium, ale krawieckie. Zacznie pracować, zbuduje swe zaplecze finansowe, uniezależni się od rodziców. Dopiero wtedy zacznie się rozglądać za partnerem, z którym to mogłaby założyć własną rodzinę. Genialny plan, nieprawdaż?

– Doskonale cię rozumiem – mówiła Vanilla. – Ja też chcę tak zrobić. Pomyśl tylko, jak byłoby wspaniale, jakbyśmy pracowały razem, w jednym zakładzie!

– Aha, masz rację! – przytaknęła entuzjastycznie Silkflake. – Rozmawiałam o tym z tatą... Kiedy mamy nie było w domu – ciągnęła dalej. – On twierdzi, że w Manehattanie brakuje miejsca dla mniejszych zakładów krawieckich. A w większych, wielobranżowych placówkach, traktuje się młode pracownice jak popychadła. Trochę mnie to martwi.

– Bez obaw. Equestria nie kończy się na Manehattanie – odparła klaczka. – Rozmawiałam z kuzynem. On twierdzi, że warto by było wybrać się do Hoofington, albo Ponyville. Tam bardzo potrzebują szwaczek, projektantek, czy nawet zwyczajnych asystentek.

– Mówisz? – mruknęła czarnogrzywa, upijając nieco herbaty. – W sumie, sama bardzo chętnie bym się stąd wyrwała. Niezbyt mi się tu podoba.

Oczywiście, Silkflake miała na myśli nie tylko panującą w jej rodzinnym domu atmosferę, ale także bardzo dużą ilość ulicznych rzezimieszków, czy też niepokojące wieści, dotyczące rozrastających się grup przestępczych, które w biedniejszych dzielnicach miasta upatrzyły swój „rynek zbytu”. Manehattan jawił się w jej oczach jako miasto zepsute, niecierpliwie czekające na interwencję z zewnątrz. Nie czuła się bezpiecznie, ale jednocześnie chciała pomagać innym, by nie byli sami i wiedzieli, że mają wśród kucyków sojusznikę. Dawało jej to mnóstwo radości, pomagało w przezwyciężeniu trosk codziennego życia.

– Ale powiedz mi, dlaczego tak bardzo lubisz pegazy? – zaczęła nagle Vanilla.

Oczywistym było, że kiedy zwyczajne klaczki w jej wieku myślały jeszcze o szkole i zabawie, ona, musztrowana przez matkę, bogata o doświadczenia starszych sióstr, musiała nosić w głowie również nie aż tak odległą wizję zamążpójścia. Niejeden raz zwierzała się Vanilli co do swego osobistego ideału. Przy tym, dawała upust temu, jak bardzo nie zgadzała się z matką, co do cech idealnego wybranka. Według niej, liczyły się tylko trzy rzeczy:

pozycja społeczna, obrotność, prestiż. Dla Silkflake jednak, liczyło się coś innego. Chciała po prostu prawdziwego uczucia, charakteru. I skrzydeł.

– Uważam, że to niesamowite, móc wzlecieć wysoko, przeciąć powietrze, zatopić się w chmurach... – mówiła, lekko zmieszana. – A przede wszystkim, uciec od wszystkiego, kiedy tylko najdzie cię na to ochota... Sama bardzo bym chciała być pegazem.

– Rozumiem – mruknęła Vanilla. – Na kolejną fanaberię mamy, nie musiałybyś zamykać się w łazience, tylko rozwinęłaś skrzydła, zerwała się i już!

– Dokładnie. Sama rozumiesz... Um... – zastanowiła się klaczka, delikatnie się rumieniąc. – Gdybym miała swojego jedyne, ukochanego pegaza... Po prostu patrzyłabym jak rozkłada swe skrzydła, jak lata, jak jego pióra drżą na wietrze... Cieszyłabym się przez niego. Tak jakbym sama potrafiła latać... Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć.

– Chyba wiem o co ci chodzi – domyśliła się Vanilla. – Tak jakbym była kucykiem ziemskim i chciała związać się z jednorożcem, bo to byłoby trochę tak, jakbym sama czarowała, mam rację?

Silkflake skinęła głową.

– Rozumiem. Jasne, czemu nie? Skoro masz być szczęśliwa...

– No niestety, moja mama uważa, że będę szczęśliwa tylko wtedy, kiedy zrobię tak, jak ona chce. Bo ona wie najlepiej.

– Nie przejmuj się. Po prostu wytrzymaj jej humory. Zresztą, jak tylko skończysz szesnaście lat, to co ona będzie ci mogła zrobić? Nic. Nie będzie ci mogła rozkazywać, a jedynie doradzać – zauważyła Vanilla.

– Być może. Ale po tym, co nagadała naszej pani od krawiectwa, jestem prawie pewna, że jeśli tylko się postara, będzie mnie prześladować już zawsze – rzuciła nieco zmakotniała Silkflake.

– Bądź silna – poradziła przyjaciółka. – Robisz naprawdę wiele dobrego, na pewno nie zostanie ci to zapomniane.

– Wciąż wierzysz w Karmę? – zdziwiła się czarnogrzywa.

– Absolutnie. W końcu, dobrych kucyków, zło nie spotyka. – dodała Vanilla.

Przyjaciółki jeszcze przez jakiś czas żywo rozprawiły o swych marzeniach, planach na przyszłość, niejednokrotnie zwierzały się ze zmartwień, czy wątpliwości. Silkflake wiedziała, że to nie mogło trwać wiecznie, lecz była zadowolona, że chociaż na te kilkanaście minut mogła zbiec przed wiecznie niezadowoloną matką, zostawić za sobą problemy. Jaka szkoda, że ten błogi spokój nie mógł trwać wiecznie.

* * *

Po wizycie u najlepszej przyjaciółki, Silkflake udała się do sklepu z delikatesami. Zgodnie z otrzymaną listą, zakupiła wszystko, co było potrzebne pocziwej staruszce. Kiedy dotarła do jej domostwa, natychmiast zaniósła wypełnione po brzegi torby do kuchni, po czym zwróciła resztę, jaką wydała jej kasjerka. Jednakże, Lullaby nie chciała jej przyjąć. Z ciepłym uśmiechem, wręczyła wszystko Silkflake, zachęcając ją do oszczędzania. Nie obyło się bez kolejnej anegdoty. Na początku, klaczka była temu przeciwna, ale w końcu zgodziła się. Nie chciała sprawiać pani Harpstrings przykrości. Zresztą, jakby nie patrzeć, to i tak nie były duże pieniądze.

Jak zwykle, starsza klacz poczęstowała Silkflake piernikami oraz gorącą czekoladą. Z jednej strony, czarnogrzywa przeczuwała, że staruszka była już trochę zmęczona i nie wypadało przesiadywać u niej zbyt długo, lecz z drugiej, niespecjalnie miała ochotę widzieć się z matką. Miała nadzieję odwlec swój powrót do domu, na ile to tylko było możliwe. Nie liczyła, że uniknie awantury, lecz w obliczu nie cierpiącej zwłoki pracy domowej oraz przymusu snu, wierzyła chociaż w jej skrócenie. Rosemary była bez pamięci pochłonięta swoimi praktykami, więc w domu będzie najwcześniej pojutrze. Ale czy naprawdę Silkflake potrzebowała starszej siostry, by móc postawić na swoim?

Klaczka przygotowywała się do kolejnego starcia z Vibrant Blossom przez całą drogę powrotną. Źle jej było z tym, że codzienne, proste sprawy przyprawiały ją o dyskomfort. Żadna z jej koleżanek nie musiała na co dzień toczyć wojenki z żadnym z rodziców, tylko ona. Co prawda nie spotykały jej z tego tytułu żadne przykrości w szkole, ale marzyła o tym, by móc w końcu posmakować normalności. Znaleźć się pośród znajomych czterech ścian, ciepło się przywitać, zasiąść do wspólnej kolacji, porozmawiać. Spojrzeć na matkę jak na matkę, a nie kogoś, kto usiłował kontrolować cudze życie i z kim trzeba było bezkresnie drzeć koty.

Było nieco po siedemnastej, kiedy Silkflake dotarła do znajomej, nieco obskurnej kamienicy. Mgła ustąpiła, lecz śnieg nie przestawał padać. Na domiar złego, klaczka poczuła denerwujące kręcenie w nosie. Powstrzymała się od kichnięcia, ale była już pewna, że zawisło nad nią widmo grypy. Kolejna zwyczajna sprawa, która dla Vibrant Blossom była jedynie pożywką do narzekań.

– No pięknie! Jeszcze mi się przeziębisz! Nie myśl sobie, że pozwolę ci zostać w domu! – zaczęła wzburzona klacz, widząc na klatce schodowej swą córkę, mozolnie wspinającą się na piętro. – Chora czy nie, będziesz chodzić do szkoły!

Zdenerwowana Silkflake przewróciła oczami. Jej zachowanie było Vibrant Blossom wybitnie nie w smak.

– Co masz na swoje usprawiedliwienie?!

Czarnogrzywa chciała jedynie przekroczyć próg i dostać się do domu. Nie chciała obrazić matki, a jedynie puścić jej słowa mimo uszu. Niestety, kiedy wzburzona rodzicielka stanęła na drodze do mieszkania, musiała spojrzeć w jej oczy.

– Przepraszam, mamó... – rzekła niechętnie.

– Przestań mnie przepraszać, tylko zacznij się odpowiedzialnie zachowywać! – warknęła klacz. – Miałas po szkole wrócić prosto do domu! Gdzie żeś znowu łazikowała?!

– Byłam u Vanilli, a potem...

– Och, znowu! Skacze sobie z kwiatka na kwiatek, w ogóle nie myśli o przyszłości! Chcesz być taka, jak ona?

– A właśnie, że myśli o przyszłości! – odrzekła gniewnie Silkflake. – I rozumiem mnie lepiej, niż ty! – dodała po chwili, balansując na granicy płaczu.

– Tak ci się tylko wydaje! Rozumiem cię, dlaczego? Bo mówi to, co chcesz usłyszeć? Życie nie jest takie proste, a to, że jej rodziców niespecjalnie to obchodzi, nikomu nie przybliży nieba! Jeszcze mi kiedyś podziękujesz!

Niespodziewanie, z sąsiedniego mieszkania wystąpiła zdenerwowana klacz w średnim wieku. Nie wiedzieć czemu, zwykła ubierać się tak, jakby przybyła z zamierzchłej epoki. W towarzystwie swych kociąt, zmarszczyła brwi i prychnęła groźnie, na kolejną kłótnię swoich sąsiadek.

– Droga pani, musi pani tak wrzeszczeć? Przecież to wszystko słysząc, po wszystkich piętrach się rozchodzi! – rzuciła.

– Rozmawiam z córką, proszę się nie wtrącać! – warknęła Vibrant Blossom, wreszcie przepuszczając Silkflake.

– A niech pani se rozmawia, tylko niech pani da sąsiadom spokój, co?

Granatowa klaczka nie chciała dłużej wysłuchiwać tej wymiany zdań. Pospieszenie się rozebrała, po czym weszła do kuchni. Chciała przygotować sobie coś gorącego do picia. Zaraz po tym jak wstawiła wodę, przywitała się z ojcem. Stark Archer jak zawsze pochłonięty był lekturą brukowca. Miło z jego strony, że raczył chociaż unieść wzrok. Silkflake miała nadzieję, że zdąży się uczesać, zanim jej mama zakończy ripostowanie natrętnej sąsiadce. Niestety, miliła się.

– Stara panna i wiecowa krzykaczka! „*Koty mi pani straszy*”, też coś! – denerwowała się Blossom. – Nie mogę się doczekać, aż wreszcie się stąd wyprowadzimy! Jak ty wyglądasz?!

– Przecież zaraz się uczesz! – krzyknęła klaczka. W ostatniej chwili, zanim ktokolwiek zdołał położyć kopyto na jej grzywie, zdążyła zamknąć się w łazience.

– Masz szczęście, że nie mam ochoty na przepychanki, ale i tak ci powiem! Albo zaczniesz wreszcie zachowywać się odpowiedzialnie, albo ukróć ci te wszystkie przyjemności!

Silkflake wiedziała aż za dobrze, co jej rodzicielka miała na myśli. Naprawdę chciała zabronić jej kółka krawieckiego, wizyt u pani Harpstrings, a także kontaktów z koleżankami. Wszystko po to, by ziścić swe wygórowane ambicje. Granatowa klaczka nie zamierzała na to pozwolić. Będąc sama, wciąż obawiała się reakcji swej matki, lecz mając przy sobie Rosemary, mogła zdziałać wiele. Musiała po prostu przeczekać te kilka dni.

Niestety, gdy tylko uniosła szczotkę, do jej uszu dotarł dźwięk, który w mig nappełnił ją trwogą. Jak oparzona, Silkflake wypadła z łazienki, tylko po to, by zobaczyć Vibrant Blossom, grzebiącą w jej tornistrze. Ruchy klaczy świadczyły o wielkim gniewie. Zanim czarnogrzywa zdołała ją powstrzymać, Blossom wyciągnęła z plecaka dzienniczek. Uniosła go wysoko, tak aby jej najmłodsza córka nie mogła go dosięgnąć. Czym prędzej przewróciła pierwsze karty, pospiesznie wyszukując ocen z przedmiotów przewidzianych na bieżący semestr.

– Wiedziałam! Ty po prostu przestałeś się uczyć! – powiedziała z wyrzutem klacz, odpychając od siebie Silkflake. – Wcześniej miałaś piątki i czwórki!

– Nadal mam! – upierała się klaczka, lecz na próżno.

– Tak, tylko, że znacznie mniej! Ile tu trójek... Dwójki?! Upadłeś aż tak nisko?! I ty chcesz iść do szkoły wyższej?!

– Może kilka razy się zdarzyło! Ja to poprawię!

Krzyki Silkflake na nic się nie zdały. Vibrant Blossom wiedziała już wszystko, co chciała. Raz jeszcze odepchnęła klaczkę, po czym przepełniona złością, cisnęła dzienniczkiem w kąt przedpokoju. Nie minęło wiele czasu, zanim dobyte z tornistra ostatnich dzieł swej latorośli. Spojrzała na nie z obrzydzeniem, co sprawiło młodej klaczce jeszcze większą przykrość.

– I to dla tych szmat opuściłeś się w nauce?! Nie wierzę!

– Proszę cię, nie nazywaj ich tak! – wrzasnęła zraniona Silkflake.

– Ja naprawdę, jestem w stanie wiele zrozumieć... Pomaganie jakimś obszczymórkom, albo starej babie... Ale nie, tego nie mogę zrozumieć! – mówiła kipiąca wściekłością Blossom. – Toż to jakieś nieporozumienie! Naprawdę myślisz, że coś potrafisz?

– Mamo, proszę! Staralam się! Przestań!

– Nic mnie nie obchodzi twój znaczek! Pchasz się tam, gdzie nie trzeba, myślisz jak byle sraluch i tak się zachowujesz! – grzmiała klacz. – Nie pozwolę, byś została nic nie warta szwaczką, czy lichu wie czym jeszcze!

Silkflake usiłowała przemówić swej rodzicielce do rozumu, lecz jej starania spełzły na niczym. Z przerażeniem patrzyła, jak ta zaczyna bezlitośnie drzeć jej najnowsze dziełka, nie zważając na przepełnione żalem krzyki i błagania. Była bezsilna. Nie było obok niej Rosemary. Po drugim odepchnięciu ustąpiła. Po prostu skuliła się w kącie i zacisnęła powieki. Kopytkami zatkała uszy, nie chcąc słyszeć odgłosów rozrywanego materiału.

Niespodziewanie, nadeszła pomoc. Silkflake w ogóle się tego nie spodziewała, ale kiedy Vibrant Blossom już miała rozerwać na strzępy trzecią sukieneczkę, ktoś ją powstrzymał. Zaskoczona klaczka rozpoznała niski głos swego ojca. Czyżby wreszcie zwłókł się z fotela i odłożył gazetę? Wydarzenie godne odnotowania w kalendarzu.

Klaczka nieśmiało zabrała kopytka ze swych przemokniętych od łez oczu. Tym, co ujrzała, był wręcz szokujący obraz. Oto jej rodziciel, jak dotąd bierny, głuchy na lamenty swej latorośli, odważył się przeciwstawić żonie. Uratował trzeci ciuszek przed zniszczeniem, zaś kolejny napad złości Vibrant Blossom przyjął na siebie. Oczywiście, nie miał zamiaru unieść na nią kopyta, o nie. Uznał, że jeżeli musiała dać upust złości, to niech go uderzy, raz, drugi, trzeci, byle tylko zostawiła w spokoju rzeczy Silkflake.

Trwało to kilka chwil, zanim klacz wreszcie się uspokoiła. Dyszała ciężko, wciąż wzburzona, przepełniona niechęcią do pasji swej córki. Stark Archer uznał, że był to dobry moment na zabranie głosu.

– Czy możesz mi powiedzieć, coś ty przed chwilą zrobiła?

– To, co jest słuszne! – odparła pewnie Vibrant Blossom. – Czy ty jesteś ślepy, czy tylko głupi? Nasza córka opuściła się w nauce! Myśli o bzdurach, zamiast skupić się na przyszłości!

– To tylko twoje zdanie na ten temat – zauważył ogier, czym zasłużył sobie na kolejny policzek. – Co w tym złego, że chce szyć? Przecież może w ten sposób zarabiać na życie!

– Jakies psie pieniądze! – klóciła się klacz. – A poza tym, jak śmiesz kwestionować moje zdanie?

– Przestań patrzeć wyłącznie na Manehattan, otwórz oczy! Wczoraj czytałem, że zawód szwaczki jest bardzo pożądanym w Ponyville, Dodge City, nawet w Vanhooverze brakuje pracowników wykonujących usługi krawieckie. Może studium to nie taki zły pomysł. Jeżeli Silkflake...

– Nie chcę tego dłużej słuchać! Silkflake nie będzie jeździć po żadnych, zapyziałych zazadziach! Ma zostać tutaj! Ma skończyć szkołę i sobie ułożyć życie! Zresztą, do jakiej ona pracy się nadaje?

– Czyżbyś zapomniała już jak się poznaliśmy? Pracowaliśmy w tym samym zakładzie – zauważył Stark Archer. – Nigdy nie uważałem, że praca ujmuje ci klaczości.

– Teraz to się nie podlizuj! Od dzisiaj śpisz na kanapie, do odwołania!

– *Nie mogło mnie spotkać nic lepszego* – pomyślał sobie ogier, uśmiechając się kpiąco.

Czerwonogrzywa klacz zabrała z wieszaka swój płaszcz, włożyła ciepłe buty, na głowę zarzuciła czapkę i kaptur. Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Czuła, jak cała się gotuje. Potrzebowała długiego spaceru. Musiała się wystudzić, umieścić gdzieś pomiędzy swymi myślami niepokorną córkę, na nowo obmyślić plan, jak ją „przekonać”, że się myliła. Wychodząc na korytarz i znów natrafiając na nielubianą sąsiadkę, Blossom z impetem trzasnęła drzwiami. Silkflake mogła z drugiego końca przedpokoju usłyszeć, jak jeden z obrazków powieszonych w salonie zleciał na podłogę.

Stark Archer jeszcze raz pokręcił głową, po czym skierował wzrok na dzienniczek córki. Powoli udał się w tamtą stronę i podniósł go. Silkflake nieśmiało uniosła głowę. Powstając z podłogi, mogła dostrzec jak brwi ojca pomału ulegały zmarszczeniu. Przewracając kolejną stronę, Stark Archer zmarkotniał. Westchnął przeciągle, kiedy jego oczy zwróciły się u granatowej klaczce.

– Cóż. W jednym muszę się zgodzić. Te oceny... – przerwał na moment, chcąc pomóc córce w zebraniu jej ostatnich dzieł, a także tego, co zostało z dwóch rozdartych sukienek. – Moja droga, musisz to poprawić.

– Poprawię – szepnęła zdruzgotana Silkflake. Na widok strzępów tkanin, zebrało jej się na płacz.

– Nie podoba mi się to, że Blossom tak na ciebie krzyczy, ale postaraj się ją zrozumieć. Zależy jej na twojej przyszłości.

Cały tatusiek. Raz na gryfi rok odważy się postawić żonie, osłonić córcię przed falą złości, ale kiedy tylko zostanie z nią sam na sam, znów skutecznie swoje meczyje. Silkflake już myślała, że się przytuli, zwierzy, poszuka u rodziciela rady. Ale po tych słowach już wiedziała, że bardziej liczyło się dla niego jak najszybsze odwołanie kanapowego aresztu.

– Tato, ty też myślisz, że do niczego się nie nadaję?! – warknęła czarnogrzywa, ocierając nos.

– Nie, nic takiego nie powiedziałem. Ale wiesz... Na świadectwie będą oceny z przedmiotów, a nie z kółka krawieckiego.

Silkflake wciągnęła powietrze. Zdenerwowana i smutna, rzuciła w ojca swymi pracami, a następnie pogalopowała wprost do pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi, od razu wskakując na łóżko. Z całych sił przycisnęła do pyszczka poduszkę, na dobre się rozklejając. Jasne, chciała poprawić oceny, ale nie miała już wątpliwości, że niebawem w dzienniczku znajdą się pały. Po prostu wiedziała, że w tym stanie nie skupi się i nie odrobi pracy domowej. Nie zdąży też przygotować się na lekcje. W ogóle, jeśli zdoła zmrużyć oko tej nocy, już wtedy będzie dobrze.

Miała olbrzymi żal do swych rodziców. Wprawdzie nie liczyła na choćby krztę zrozumienia ze strony matki, ale w swych najśmielszych projekcjach nie myślała, że dosłownie rozerwie na strzępy to, nad czym tak długo pracowała. Silkflake zapamiętała jej wyraz pyszczka. Blossom nawet nie mrugnęła okiem, z każdą kolejną chwilą zdawała się rwać tkaniny z wciąż rosnącą determinacją. To było przerażające.

Wstawiennictwo ojca, w ostatecznym rozrachunku, na wiele się nie zdało. Silkflake chciała czegoś innego. Chciała mieć w nim oparcie, tak jak w przypadku Rosemary, Vanilli, czy też samej pani Harpstrings. Chciała poczuć się silna, zdolna do podejmowania suwerennych decyzji. Nie chodziło jej o nic wielkiego, jedynie życie bez strachu. Strachu, że kiedy tylko odwróci wzrok, podzieli się swoim zdaniem, Vibrant Blossom zacznie niszczyć, wyzywać, grozić. Nie chciała już dłużej być kontrolowana.

Tonąc w swych żalach, klaczka nawet nie usłyszała, jak do pokoju wszedł Stark Archer. Choć nadal był zaniepokojony ocenami córki, próbował ją zrozumieć, na swój sposób. Powolnym krokiem zbliżył się do posłania, przysunął sobie krzeselko, po czym spoczął na nim, czule gładząc Silkflake po grzywie.

– Przepraszam – zaczął lekko struty. – Nie miałem na myśli nic złego. Szyj sobie, jeżeli sprawia ci to radość... Ale nie zapominaj o stopniach.

Silkflake w dalszym ciągu szlochała i pochlipywała, zatopiona w poduszce. W głębi serca trochę się ucieszyła, na pewną nutkę współczucia, jaką dało się usłyszeć w głosie ojca. Stark Archer, nosząc w sercu skrucę, pragnął jakoś rozweselić najmłodszą córkę. Zastanawiając się co mógłby zrobić, przypomniał sobie niedawną rozmowę z Rosemary.

– Hej, a co ty na to, żebyśmy poszli razem do tej pani Harpstrings... Nie pomyliłem nazwiska?

Silkflake natychmiast uniosła głowę.

– Twej mamy nie namówię na przearanżowanie wigilijnego grafiku, ale co ty na to, by odwiedzić staruszkę nieco wcześniej? Może ze dwa, trzy dni przed Wigilią? – zaproponował ogier.

– A-ale... Mama nie pozwoli – jęknęła granatowa klaczka.

– To najwyżej pójdziemy bez niej... Jak będzie brała kąpiel, czy coś w tym rodzaju, szybko się ubierzemy i czmychniemy z domu. Co ty na to?

– T-to się nie uda... Mama...

– Nie obawiaj się. Wszystko wezmę na siebie – Stark Archer mrugnął porozumiewawczo.

W zasadzie, Silkflake nadal nie wyobrażała sobie jak wraz z siostrą i ojcem ucieknie przed jadem zaborczej matki, ale poczuła się kapkę lepiej. Nawet, jeżeli ojciec miał następnego dnia zmienić zdanie i pod presją Vibrant Blossom zganić Silkflake za jej zbyt dobre serce, ona chciała zatrzymać tę chwilę na dłużej. Pocieszona, wpadła w objęcia rodziciela, pomału odzyskując wiarę.

– Chciałbym tylko abyś mi obiecała, że poprawisz oceny i postarasz się o dobre świadectwo – dodał po chwili ogier, przytulając córkę najmocniej, jak tylko potrafił. – Skończ szkołę. Wiem, że Rosemary odbywa studium i też byś tak chciała, ale sama pamiętasz ile z tym było kłopotów...

– Pamiętam – mruknęła gorzko klaczka.

– Nie rozpaczaj, nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

Silkflake słyszała ten slogan już zbyt wiele razy, by wierzyć w jego prawdziwość. Niemniej, pokornie przytaknęła.

Jeżeli Lullaby Harpstrings miała w te święta poczuć, że nie jest sama, że w najbliższym otoczeniu były kucyki, które naprawdę się o nią troszczyły i które chciały spędzić święta wspólnie z nią, to i Silkflake mogła co nieco na siebie przyjąć.

* * *

Czas Wigilii Serdeczności zbliżał się wielkimi krokami. Pogoda sprzyjała atmosferze świąt, w powietrzu czuć było magię, lecz z jakiegoś powodu Lullaby Harpstring nie była w stanie posmakować tego klimatu. Było to o tyle dziwne, że Silkflake, wraz z siostrą i ojcem, miała odwiedzić ją już w najbliższy poniedziałek, na trzy dni przed świętami. Przy granatowej klaczce, staruszka uśmiechała się i radowała, lecz kiedy tylko zostawała w domu sama, jej pogoda ducha gdzieś ulatywała. Dlaczego?

Spoglądając przez okno, klacz widziała spacerujące po mieście kucyki. Ciepło ubrane, opatulone od kopyt aż po głowę czym się dało, niestrudzenie przemierzały zasypane śnieżne i mierzły się z zimnem. Po cichu, w głębi serca, zazdrościła im. Oczywiście, nie przystało jej uczestniczyć w bitwie na śnieżki, czy lepić bałwanki, ale chciała chociaż przez kilka minut pospacerować, czy też skorzystać z kuligu. Po prostu, wyrwać się z tych cichych, nudnych czterech ścian, pooddychać świeżym powietrzem, zobaczyć jeszcze raz cuda zimy, ale z bliska, nie zza szyby.

Niestety, stan jej zdrowia nie pozwalał na te atrakcje. W tym wieku, była zbyt słaba. Nieważne jak dobrze by się nie ubrała, wystarczyło kilka minut, aby zakręciło jej się w głowie, a nos uległ zatkanie. Nie jadła już zbyt dużo, słabła z każdym kolejnym miesiącem. Nie wystarczyłoby jej sił, by przebić się przez większą zaspę, nie wspominając już o śliskim podłożu. Jej ciało było bardzo drobne i porywisty wicher bez trudu zwałiłby ją z kopyt. Wystarczył jeden upadek, by poważnie pogruchotać wszystkie jej kości, a sama by nie powstała.

Jesienią, czy latem, było niewiele lepiej. Mogła sama robić zakupy, czy też spacerować, ale nie za długo i nie za daleko. Kiepsko znosiła zmiany ciśnienia, kolejne kaprysy pogody. Mówiąc krótko, czuła się więźniem w własnym domu. Samotna, osłabiona i zapomniana przez własną rodzinę, mogła jedynie chodzić od ściany do ściany, rozmawiać z fotografiami, szyc ubrania, których i tak nikt nie założy. Tę sytuację zmieniła nieco Silkflake, lecz klaczka nie mogła przebywać z panią Harpstrings przez cały czas. Niemniej, była namiastką rodzinnej atmosfery, której tak bardzo żałowała staruszka.

Chociażby z tego powodu, chciała dać z siebie wszystko i przygotować wspaniałą, świąteczną kolację. Ugotować wszystko to, czym przed laty zajadał się jej mąż, dzieci, krewni, znajomi. Co prawda nie była w stanie sprawić sobie prawdziwej choinki, ale na dnie szafy wciąż spoczywało stare, sztuczne drzewko, które mogła bez trudu rozłożyć. Nieco gorzej było z ozdobami. Większość bombek straciła kolor, część uległa stłuczeniu, światełka nie miały prawa działać, a postrzępione łańcuchy pokryte były kurzem. Na szczęście, stary gramofon wciąż działał, a gdzieś w schowku wciąż leżały stare płyty winylowe. Wśród nich znajdowały się tradycyjne, świąteczne melodie. Powinno wystarczyć.

Świadomość, że po raz pierwszy od wielu, wielu lat, będzie przyjmować na święta gości, bardzo podbudowała starszą klacz. Wreszcie czuła, że ma do zrobienia coś ważnego. Niestety, bez Silkflake w pobliżu, nie była w stanie w pełni się tym cieszyć. Do wizyty wciąż pozostało jeszcze trochę czasu, lecz Lullaby, ilekroć spoglądała na kalendarz, żałowała, że to nie mogło nastąpić już dzisiaj. Silkflake regularnie robiła staruszce zakupy. Za każdym razem pytała ją o zdrowie i czy cieszy się ze zbliżającej się kolacji. Lullaby odpowiadała

niezmiennie, że czuje się dobrze i że nie może się już doczekać. Spieszyła się coraz bardziej, nierzadko sięgając granic swych możliwości.

Jednakże, w piątek, kiedy Silkflake pożegnała się i udała w stronę swego domu, w staruszcze coś pękło. Kiedy przekręcała w zamku klucz, mimowolnie, po jej policzku spłynęła pojedyncza łza. Poczuła się dziwnie, jakby miała do zrobienia coś bardzo ważnego, lecz nie była pewna, czy aby na pewno starczy jej czasu. Z jednej strony chciała, by ten wyjątkowy poniedziałek nastał jak najszybciej, lecz z drugiej, była świadoma, że może się spóźnić z wieloma potrawami, czy prezentami.

Właśnie, prezenty... Co miała podarować swym gościom? Nie sądziła, by nawet w najgłębszych zakamarkach jej domostwa znajdowało się coś, co mogłoby zainteresować czternastoletnią klaczkę, jej starszą o dwa lata siostrę, czy ojca rodziny. Nie mogła sama udać się do sklepu z upominkami, ani też niczego dopisać do listy zakupów, bo wtedy nici z niespodzianki. Zmartwiła się. Kiedyś, kiedy była jeszcze silna i w pełni samodzielna, zwykła wygrywać na fortepianie swe kompozycje, bo właśnie to było dla jej najbliższych najwspanialszym prezentem. Oryginalna muzyka, skomponowana tylko dla nich, wygrywana przez jej kopyta, tu i teraz. Ale czasy się zmieniły. Dzisiaj pewnie musiałaby zainwestować w jakieś świecidelka, czy praktyczne bibeloty. W ogóle, wszystko zaczęło przeliczać na pieniądze. Chęci, czy ciepło serca schodziły na dalszy plan, a niekiedy budziły szyderczy rechot. Smutne.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej docierało do niej, jak bardzo nie pasowała do obecnych czasów. Tak na dobrą sprawę, nie wiedziała jak wyglądał obecny Manehattan, jako całość. W ogóle, miała nikłe pojęcie o reszcie Equestrii. Była pewna, że od czasów, kiedy podróżowała i zwiedzała różne miejsca wiele się zmieniło i tym bardziej, żałowała, że wszystkie te zmiany ją ominą.

W sobotę przerwała przygotowywania. Trapiąca tymi kwestiami, po prostu usiadła w swym fotelu i zaczęła po raz wtóry przeglądać albumy ze zdjęciami. Niejednokrotnie zatrzymywała się na fotografiach, które miały dla niej szczególne znaczenie. Mówiła do nich. Nie uzyskiwała odpowiedzi, ale to i tak było lepsze, niż snucie się od ściany do ściany. Zanim się obejrzała, minął cały ranek oraz syta część przedpołudnia. Z trudem wstała z miejsca. Czując potworny ból w stawach, staruszka odłożyła album na miejsce. Spojrzała na zegar, a następnie na kalendarz. Miała coraz mniej czasu. Z jednej strony cieszyła się, że świąteczna kolacja była coraz bliżej, ale z drugiej wiedziała już, że nie zdąży ze wszystkim. Postanowiła zrezygnować z części uprzednio zaplanowanych dań. Zmęczona i osłabiona, zdecydowała się wcześniej położyć, a przygotowania dokończyć następnego dnia. Obiecała sobie, że wszystko zostanie dopięte na ostatni guzik i mimo pewnych braków, odtworzy dawną atmosferę Wigilii Serdeczności w swym domu.

Ale niestety, kiedy wczesnym rankiem obudziła się, poczuła potworne łupanie w grzbiecie. Co gorsza, jej magia zdawała się jeszcze szybciej słabnąć, a stawy bolały tak bardzo, że z trudem mogła chodzić. Bardzo szybko zdała sobie sprawę, że z tego wszystkiego, zeszłego wieczora zapomniała o zażyciu swoich leków. Musiała temu czym prędzej zaradzić. A potem zająć się przygotowaniami. Wszak zostało już tak niewiele...

Mimo licznych przeciwności losu, udało się. Lullaby Harpstrings była gotowa na przyjęcie swych drogich gości. Niedziela pomału dobiegała końca, klacz czuła się zmęczona jak nigdy wcześniej, lecz była szczęśliwa. Jej goście mieli się zjawić dopiero następnego wieczora, ale i tak wszystkie przysmaki już leżały na stole. Ich zapach przypominał staruszcze o dawnych czasach. Patrzyła na nakryty stół i czuła przyjemne ciepło, w głębi serca. Po jej policzku znów spłynęła słona łza. Nareszcie poczuła się komuś potrzebna. Nareszcie czuła, że była dla kogoś ważna i że miała na kogo oczekiwać. Ale na chwilę obecną, była zbyt wykończona. Ospale usadowiła się w ulubionym fotelu i przymknęła oczy. Zegar miarowo odmierzał czas, a dźwięki jego mechanizmu pomału usypiały starszą klacz.

Po niezwykle pracowitym tygodniu, właśnie tego potrzebowała – odpoczynku. Upajała się stworzoną przez siebie atmosferą, choć czuła, jak z minuty na minutę gdzieś ulatywała. Niemniej, wierzyła, że jak tylko Silkflake zapuka do jej drzwi, wszystko powróci.

* * *

Ubrana „na cebulkę” klaczka pewnym krokiem szła w kierunku domostwa pani Harpstrings. Cieszyła się na myśl o wspólnie spędzonej kolacji i podarowaniu staruszcze najwspanialszego prezentu, jakim była po prostu jej obecność, pamięć. Jednocześnie, było jej przykro z powodu nieobecności ojca. Archer w ostatniej chwili uległ presji żony, zaś całe wyjście na moment stanęło pod znakiem zapytania. Dobrze, że miała przy sobie Rosemary, bo bez jej wstawiennictwa skończyłoby się na olbrzymiej przykrości, jaką przeżyłaby zarówno ona, jak i Lullaby.

Zbliżała się godzina siedemnasta. Śnieg nie przestawał prószyć, toteż kucyki odśnieżające chodniki i uliczki nieprzerwanie miały pełne kopyta roboty. Mróz nie dawał się we znaki aż tak, wiatru prawie nie było, lecz obie klacze wołały nie ryzykować. Wciąż skrywały swe pyszczki w szalikach, w ogóle nie zabierając głosu. W milczeniu dotarły do domu pani Harpstrings, marząc o czymś ciepłym do wypicia, bądź zjedzenia. Oczywiście, zaraz po tym, jak uściskają samotną staruszkę, złożą życzenia i wręczą prezenty.

Silkflake chyżo wspięła się po stopniach i zapukała do starych, dębowych drzwi. Stojąc na ganku, wyswobodziła się z ciepłego ucisku wełnianego szalika, po czym zwróciła do starszej siostry.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłyśmy – rzekła klaczka, czemu towarzyszyła ulatująca z jej ust para.

– Spokojnie, jesteśmy prawie idealnie na piątą – odpowiedziała spokojnie Rosemary, rzucając okiem na zegarek. – Raptem pięć minut. Mamy szczęście, że obyło się bez kolejnej wojny z mamą.

– Naprawdę, bardzo ci dziękuję za wsparcie. Cieszę się, że ze mną jesteś.

– Nie mogło być inaczej. W końcu ci to obiecałam – mówiła dalej klacz. – Szkoda, że tatusiek znowu nas zawiódł, ale nieważne. Poradzimy sobie bez niego, co nie?

– Mów co chcesz, ale mi i tak jest trochę przykro – mruknęła Silkflake.

– A ja ci powiem, że wcale się nie zdziwiłam. Ba, nawet się tego trochę spodziewałam. Cóż. Widać nasz staruszek bardzo chce wrócić do małżeńskiego łóża.

Granatowa klaczka skinęła głową. Ponowiła pukanie, po chwili także zadzwoniła, jednakże, pani Harpstrings w dalszym ciągu nie otwierała. Wiedziała doskonale, że staruszka była osłabiona i dojście do drzwi zabierało jej nieco czasu, lecz nigdy wcześniej nie trwało to tak długo. Również Rosemary wydawała się być zaniepokojona. Dołączyła do młodszej siostry i sama zapukała do drzwi. Trąpiona ciekawością, przyłożyła ucho do powierzchni framugi, lecz niczego nie usłyszała. Żadnego głosu, żadnych kroków, nic.

– Proszę pani, to my! – zawołała Silkflake. – Proszę otworzyć, przyszłyśmy na kolację!

– Silk... Myślisz, że śpi?

– Nie, na pewno nie! – zaprzeczyła granatowa klaczka, po raz wtóry pukając i wołając. – Przecież się umówiłyśmy! Halo! Proszę pani! Słyszysz pani nas?

Rosemary wykonała krok w tył. Zastanowiła się przez chwilę, po czym opuściła ganek i zmierzyła wzrokiem okolicę. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi, ale pomyślała, że warto będzie sprawdzić okna. Wszystkie światła były zapalone, jednakże, z komina nie ulatywał dym, co wskazywało na to, że w piecyku nie tlił się nawet najmniejszy płomień. Mając na uwadze mróz, nie było to zbyt mądre posunięcie. Klacz nieśmiało zajrzała przez okno do środka. Wszystko wyglądało normalnie, ale nigdzie nie było pani Harpstrings.

W pewnej chwili, Rosemary kątem oka zauważyła siostrę, chyżo zeskakującą z ganka. Silkflake pokłusowała w stronę okienka piwnicznego, ku metalowej kratce, blokującej zsymp. Nie zamierzała sprawdzać, czy dostarczono Lullaby węgiel, bynajmniej. Sięgnęła kopytkiem w dół, ku niewielkiej niszy, zabezpieczonej niedużą zasuwką. Była to skrytka na zapasowy

klucz do frontowych drzwi. Jakiś czas temu Lullaby Harpstrings zdradziła Silkflake, gdzie skrywa klucz, w razie, gdyby stało się coś złego i staruszka nie byłaby w stanie samodzielnie przejść do przedpokoju i otworzyć.

Dzisiaj, czarnogrzywa poczuła, że nadszedł jeden z tych momentów, których się obawiała. Przypuszczała, że Lullaby upadła albo zasłabła. Chciała jej pomóc. Przywołała do siebie siostrę, po czym zaczęła manipulować przy zamku.

– Na pewno wiesz, co robisz? – zapytała Rosemary.

– Pani Harpstrings sama mi pokazała tę skrytkę! Powiedziała, że gdybym kiedyś się o nią martwiła, mogę sama otworzyć drzwi i wejść! – wyjaśniła pośpiesznie Silkflake. – Boję się, że znowu upadła! To już kiedyś się zdarzyło!

W końcu zamek ustąpił i siostry mogły wkroczyć do środka. Rosemary stąpała ostrożnie, w skupieniu oglądając otoczenie. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że nie sprawdziła tyłu domu. Co, jeśli ktoś się włamał, zrobił staruszce krzywdę i wciąż przebywał wewnątrz? Oczywiście, zanim klacz się spostrzegła, jej młodsza siostrzyczka popędziła w stronę kuchni, a potem wpadła do salonu. Tam znalazła panią Harpstrings. Towarzyszył jej dosyć zastanawiający widok.

Tym, co ujrzała Silkflake, był nakryty stół oraz starsza klacz, zasiadająca na swoim fotelu. Granatowa klaczka podeszła nieco bliżej. Zdziwiona, zorientowała się, że wszystkie dania były zimne, tu i ówdzie widoczne były charakterystyczne skorupy, ciasto zdążyło stwardnieć, zaś część barszczu zdążyła odparować. Widoczne były zaschnięte, czerwone ślady, w postaci kręgów na powierzchni misy. Nie wyglądało to aż tak źle, lecz z całą pewnością nie nadawało się do spożycia.

W kominku znajdowała się podpałka oraz sporo baryłek węgla. Wszystko było gotowe do rozpalenia, nawet drzwiczki były lekko uchylone. Nieco wyżej znajdowały się zdjęcia, lecz nie wiedzieć czemu, prawie wszystkie były odwrócone. Tak, jakby staruszka nie chciała ich widzieć. Jedynym zdjęciem, które pozostało nietknięte, było to, na którym widniała Lullaby wraz z mężem, świeżo po ślubie.

Z zakłopotaniem odnajdując coraz to nowe dziwy, Silkflake nieśmiało podeszła do staruszki. Przełknęła ślinę, po czym przywitała się ciepło, lecz nie uzyskała odpowiedzi. Niepokojąc się, spojrzała na zastygłą w fotelu Lullaby. Wyglądała tak, jakby spała, lecz coś było nie tak. Nie poruszała się, a do uszu czarnogrzywej nie docierały żadne dźwięki, które mogłyby świadczyć o tym, że oddychała. Dopiero po jakimś czasie klaczka ze zgrozą zorientowała się, że starsza klacz była bardzo biała. Siatka zmarszczek po prostu zwisała z

jej beznamiętnego pyszczka. Otrząsając się z najczarniejszych myśli, Silkflake spróbowała szturchnąć staruszką, obudzić ją, lecz ta była zimna jak lód.

Mniej-więcej wtedy w progu pomieszczenia stanęła zaniepokojona Rosemary. Z niedowierzaniem spojrzała na poczynania swej siostry, tuż zanim raczyła obieć wzrokiem salon, zatrzymując się na pani Harpstrings. Zajął jej chwilę zrozumienie tego, co rozgrywało się przed jej oczami. Smutek momentalnie sparaliżował klacz, jednakże zdrowy rozsądek podpowiadał jej, by przetrzymać burzę melancholii w sercu jeszcze przez moment i zabrać stąd młodszą siostrę, najszybciej, jak tylko się dało.

– Proszę pani! Proszę pani! – wołała Silkflake. Trudno było orzec, czy nie rozumiała zastałej sytuacji, czy po prostu nie chciała jej zrozumieć. – Proszę się obudzić! Przyszliśmy do pani na świąteczną kolację! Halo! – klaczka nie przestawała potrząsać staruszką, w nadziei, że ta wreszcie do niej przemówi.

Do diabła ze zdrowym rozsądkiem. Czując chwilowy odpływ sił, Rosemary oparła się o futrynę i schowała pyszczek w kopytku. Zadrżała, a słone łzy mimowolnie wypłynęły spod powiek. Czuła się rozbita. Nie wiedziała, kiedy odzyska nad sobą panowanie na tyle, by móc odciągnąć młodszą siostrę na bok, wyjaśnić jej to, co właśnie się stało, zabrać do domu. Cofnęła się i schowała w przedpokoju, nie chcąc, aby Silkflake musiała oglądać ją w takim stanie. Zresztą, wiedziała, że to kwestia czasu, zanim sama popadnie w dziką rozpacz.

– Dlaczego się pani nie rusza?!

Klaczka brzmiała zbyt przekonująco, by sądzić, że usiłowała oszukać los. Ona naprawdę myślała, że Lullaby za moment się obudzi, przytuli ją i złoży życzenia. Mimo wcześniejszych wątpliwości, Rosemary w końcu to przyznała i zalana łzami, przeszła do salonu. Starła się nie patrzeć w kierunku staruszki, chcąc zbić swój smutek na tyle, by móc pomóc młodszej siostrze. Nie było to łatwe.

– H-hej... Proszę pani... To ja... S-Silkflake – mówiła dalej czarnogrzywa.

Młoda klaczka nie przestawała próbować, aż w końcu, po kolejnym szturchnięciu, staruszka bezwładnie osunęła się w prawą stronę, a jej kopyto opadło z oparcia fotela. W tym momencie, Silkflake umilkła. Spoglądała to na zimne, pozbawione życia kopyto, to na blade, zastygłe na wieczność oblicze Lullaby. Pokręciła głową, czując jak do jej oczu napływają łzy.

– S-Silkflake... Chodźmy stąd... – mruknęła Rosemary, z zakłopotaniem odciągając młodszą siostrę od staruszki.

– N-nie! – zaprotestowała klaczka. – Poczekaj... Ja... – balansując na granicy rozpacz, Silkflake pochwyciła kopyto starszej klaczy. – J-ja spróbuję ją ogrzać... Tak... Zaraz wszystko będzie dobrze... Prawda? P-prawda? – pytała, naiwnie ściskając kopyto pani Harpstrings.

– Silkflake. To nic nie da. Chodźmy...

– J-jeszcze chwila... Proszę pani! Niech pani...

– Przestań. Nic nie działasz... – zbierając w sobie siły, Rosemary szarpnęła Silkflake, po czym przytuliła do siebie, odwracając jej wzrok od starszej klaczy. – Nie patrz. Musimy stąd iść.

– A-ale miałyśmy spędzić razem święta! C-co z jedzeniem? Wszystko było przygotowane...

– Silk, doskonale wiesz, kogo powinniśmy teraz wezwać... Przykro mi.

Granatowa klaczka całkowicie się rozkleiła. Chowiała się w objęciach starszej siostry, nie potrafiąc przyjąć do wiadomości tego, co spotkało panią Harpstrings. Czuła żal do wszystkiego. Było jej przykro z powodu staruszki, okrytych atmosferą smutku świąt, zmarnowanego jedzenia, prezentów, których staruszka nigdy już nie rozpakuje, narodzin nowego roku, które ją ominą.

Zeszłego wieczora, w piersiach Lullaby zabrakło oddechu. Jej oczy zamknęły się, a serce permanentnie przerwało pracę. Pani Lullaby Harpstrings odeszła.

* * *

Tegoroczna Wigilia Serdeczności nie miała w sobie ni krzty radości, ciepła, czy słodkiej beztroskości, którą Silkflake zwykła pamiętać z poprzednich lat. Po tym, jak zalana łzami, zdruzgotana wróciła do domu, po prostu zamknęła się w pokoju i przeplakała niemalże całą noc. Rosemary przypadła misja wytłumaczenia rodzicom, co się stało i dlaczego obie zostały przywiezione do znajomych czterech ścian przez straż miejską. Strażnicy musieli siłą zabrać zrozpaczoną Silkflake do pojazdu, podczas gdy ratownicy medyczni pakowali ciało staruszki do plastikowej torby.

Ten obraz trwale zagnieździł się w głowie młodej klaczki. Zresztą, Rosemary czuła się bardzo podobnie. Nie знаła pani Harpstring aż tak dobrze, a mimo to czuła ogromny żal. Mogła jedynie domyślać się, jak okropnie musiała czuć się Silkflake, dla której staruszka była kimś więcej.

Była w rozsypce, a jeden z funkcjonariuszy wpadł na „genialny” pomysł, że być może rozsądnie będzie zadać jej kilka pytań. Zdaje się, że naprawdę pomyślał, iż czternastoletnia Silkflake miała coś wspólnego ze śmiercią Lullaby. Naprawdę uznał, że znajomość miejsca,

w którym staruszka przechowywała zapasowy klucz to wystarczająca poszlaka. Otrzymał to, co mu się należało. Granatowa klaczka wydarła się przeraźliwie, a jego przełożony jednym, zdecydowanym ciosem po uszach wybił mu z głowy jego hipotezy.

Archer również wydawał się zasmucony całą tą sprawą, dopóki oczywiście Vibrant Blossom nie przekonała go, że to naturalne i w gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować. Siostry nie rozumiały, jak ich rodzicielka mogła być tak zimna. Jasne, wiek wiekiem, na pewne rzeczy warto być przygotowanym, ale utrata kogoś bliskiego zawsze jest czymś, czemu niełatwo stawić czoła. O tym łatwo się mówi, że teraz ktoś jest w lepszym miejscu, że nie musi się już męczyć, że być może nie chciałby z góry patrzeć jak ważne dla niego lub niej kucyki smuć się, toteż lepiej zostawić przeszłość za sobą i brnąć naprzód.

Ale to były jedynie slogany, które dla Silkflake nie miały teraz żadnego znaczenia.

Oczywiście, rodzina Lullaby, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawiała się w mieście, wiedziona informacją o zgonie klaczy. Cóż za okropne kucyki – zapominały o urodzinach, świętach, od lat nie postawiły kopyt w domu staruszki, pozwoliły jej trwać w samotności, zapomnieniu. Przyjechały dopiero wtedy, kiedy jej zabrakło i kiedy, rzecz jasna, miała nadejść pora na odczytanie testamentu.

Najchętniej, Silkflake po prostu zostałaaby w swoim pokoju i pokornie czekała, aż smutki jej przejdą na tyle, że będzie w stanie chociaż pójść do szkoły. Miała w nosie narzekania matki i jej grzmienie. Na ojca nie mogła liczyć, ale Rosemary wciąż była z nią. W wyjątkowej sytuacji, odpuściła sobie kilka dni studium, by zostać z siostrą. Niestety, mijał dzień za dniem, a Silkflake nie czuła się ani trochę lepiej. Nie chciała nawet odwiedzić swych sióstr, czy też zasiąść przy jednym stole z rodziną, mimo czasu świąt. Nie chciała pokazywać się bliskim w takim stanie. Na całe szczęście, Rosemary zdołała ją przekonać, choć nie poprawiło to jej stanu. Cóż z tego, że klaczka była z rodziną w trakcie pierwszej gwiazdki, skoro ciągnęła się za nią paskudna atmosfera melancholii? Nie chciała psuć innym świąt, zarażając swym smutkiem wszystkich wokół. Nie potrzebowała tego.

Granatowa klaczka była obecna na pogrzebie. Z trudem znosząc emocje, po raz ostatni spojrzała na osobę, która była dla niej niemalże jak babcia, najlepsza przyjaciółka, może nawet kolejna siostra w jednym. Z niewyobrażalnym bólem serca pożegnała się z nią, zanim trumna została zamknięta i umieszczona w dwumetrowym dole. W jednej chwili wspomnienia uderzyły w jej świadomość, lecz zdołała się powstrzymać. Swoją uwagę skupiła na zgromadzonych wokół kucykach. Silkflake rozpoznała w nich dzieci pani Harpstrings. Były dużo, dużo starsze, niż na fotografiach, lecz zachowały swe charakterystyczne cechy. Rysy, oczy, kształt uszu, czarnogrzywa nie miała cienia wątpliwości.

Spoglądała w ich stronę z niekrytym obrzydzeniem. Pełna żalu patrzyła, jak od niechcenia rzucają na trumnę grudki ziemi, jak udają swój smutek, a w rzeczywistości tylko czekają, aż ta nudna ceremonia się skończy. I pomyśleć, że to były jej własne dzieci! Kiedy zostawiły ją samą pośród czterech ścian, kiedy skazały ją na zapomnienie, kiedy narcystycznie pochłonięte sobą odwróciły się od niej, jakoś nie było im przykro. Przez lata nawet nie pomyślały, by zobaczyć się ze staruszką, spędzić z nią trochę czasu, nieść pociechę w jej jesieni życia. Ich udawany smutek był wprost obrzydliwy. Silkflake wiedziała doskonale, że jak tylko opuszczą tereny cmentarza, zaczną zacierać kopyta na spadek po starej babce. To miała być rodzina? Żalodne. Pod maską przejętych, rozżalonych żałobników, byli to jedynie chciwe hieny w skórze kucyków.

Jednakże, już po kilku dniach nadszedł kolejny szok. Rzeczą działa się w gabinecie prawnika, któremu staruszka powierzyła wykonanie pozostawionego testamentu. Pośród kucyków, którym Lullaby Harpstrings dała życie, zasiadała Silkflake, oczywiście w towarzystwie matki. Granatowa klaczka czuła na sobie nieprzychylnie spojrzenia, lecz nie zaprzętała sobie tym głowy. Po prostu w skupieniu czekała na smutnego ogiera w garniturze, noszącego monokl na lewym oku i staromodny melonik na głowie.

W końcu nadeszła ta chwila. Prawnik przywitał się, zasiadł za biurkiem, po czym dobył z teczek ostatnią wolę pani Harpstrings, spisana na zaledwie dwóch stronach. Momentalnie, uwaga kucyków skupiła się na testamencie. Uszy powędrowały w górę, kiedy ogier w garniturze wreszcie zabrał głos.

– Mniemam, iż obecni są już wszyscy, których świętej pamięci Lullaby Harpstrings ujęła w swej ostatniej woli? – spytał. Odpowiedziało mu skiniecie głową najstarszej córki Lullaby. – Doskonale. Moje nazwisko, Carlaw. Zostałem upoważniony przez świętej pamięci panią Harpstrings, do wykonania jej testamentu. Na wstępie, chciałbym wyrazić mój żal związany z pańską stratą oraz złożyć szczerą kondolencję.

Tak jak Silkflake się tego spodziewała, mało kto z rodziny Harpstrings wydawał się poruszony. Ba, niektórzy wyglądali bardziej na zniecierpliwionych, niż pogrążonych w żałobie. Klaczka pokręciła głową, za co została dyskretnie zdyscyplinowana przez matkę.

– Ostatnia wola nieboszczki została ujęta w kilku niedługich akapitach. Pozwolicie państwo, że odczytam teraz zawartość testamentu.

Ogier zdjął monokl i umieścił na nosie okulary. Odchrząknął, po czym zabrał się za odczytanie dokumentu, który to skutecznie spędzał sen z powiek niejednemu powiązanemu z Lullaby kucykowi.

Testament.

Ja, Lullaby Harpstrings, urodzona dnia 9 kwietnia 1922 roku, w Dodge City, pragnę podzielić mój dorobek pomiędzy bliskie mi kucyki. Zanim jednak przejdę do rzeczy, chciałabym przekazać coś mojej rodzinie.

Do moich drogich dzieci.

Wiedziecie, że niemalże każdego dnia, z bólem serca, kiedy to oglądałam wasze fotografie, niejednokrotnie myślałam o tym, by Was wydziedziczyć. Zdjęcia, to jedyne co mi po Was zostało. Nie utrzymywaliście ze mną kontaktu odkąd wyjechaliście z Manehattanu. Opuściliście mnie w chorobie, zniknęliście. Żyłam sama i gdyby nie grupa życzliwych kucyków, być może odeszłabym dużo wcześniej.

Jednakże, zdałam sobie sprawę, że nie potrafię Was ukarać w ten sposób. Zrozumiałam też, że nie chcę już dłużej się na Was gniewać, choć nigdy nie zapomnę o krzywdzie, którą mi wyrządziliście. Jedyne, co mogę Wam pozostawić, to przebaczenie. Żadnych pieniędzy, żadnych nieruchomości, po prostu, pokój ducha. Ufam, że jeśli nie teraz, to w niedalekiej przyszłości, zrozumiecie.

Na te słowa, w pomieszczeniu na moment zawrzało. Dwie córki wyraźnie zakwestionowały wolę swej nieżyjącej matki, natomiast jedyny syn, z impetem uderzył w stół. Trudno było się dziwić. Wszak spodziewali się majątku, rozmaitych dóbr, a otrzymali po prostu wybaczenie. Kucyki te nie czuły się ani trochę winne, toteż na co im to było?

Do moich wnucząt.

Życzę Wam, abyście nigdy nie doświadczyli tego, co ja. Proszę, pamiętajcie o swych rodzicach. Proszę, dbajcie o swoje dzieci. Bądźcie z nimi i nie pozwólcie, by na starość Was zostawiły. Wychowujcie je dobrze, nie zapominajcie o więziach, jakie Was łączą. Bądźcie dla nich dobrzy.

Mój dom w Manehattanie, powierzam w całości mej najstarszej wnuczce, Serenie Harpstrings, urodzonej dnia 13 czerwca 1965 roku w Manehattanie. Domek letniskowy, ulokowany w miasteczku Ponyville, powierzam w całości mej wnuczce, Lorecie Harpstrings, urodzonej dnia 7 lutego, 1968 roku w Manehattanie. Moje trójpokojowe mieszkanie w Manehattanie powierzam w równych częściach moim wnukom: Prismatic Streamowi,

urodzonemu dnia 10 marca 1969 roku w Hoofington oraz Swift Castowi, urodzonemu dnia 23 listopada, 1977 roku w Vanhooverze.

Do moich prawnucząt.

Żal przeszywa me serce na samą myśl, że nigdy nie miałam szansy otrzymać choćby jednego zdjęcia, na którym utrwalony by został Wasz wizerunek. Jest mi niezmiernie przykro, że nie mam pojęcia jak wyglądacie, ani jak brzmią Wasze głosy. Ale czułam Waszą obecność, od momentu, w którym opuściliście łono swych matek. Kocham Was i życzę Wam jak najlepiej. Bądźcie dobrymi kucykami.

Moje oszczędności przekazuję w równych częściach moim prawnukom: Glowing Heart, urodzonej dnia 5 maja 1993 roku w Hoofington, Ruby Ribbon, urodzonej dnia 19 kwietnia 1994 roku w Hoofington, Unyielding Vigorowi, urodzonemu dnia 2 stycznia, 1996 roku w Vanhooverze. Mojego pełnomocnika proszę, aby dopilnował, by spadek powędrował do mych prawnucząt, kiedy tylko te osiągną pełnoletność.

Szybka matematyka zaprowadziła Silkflake do następującego wniosku – żadne z prawnucząt Lullaby nie było jeszcze pełnoletnie. Klaczka przeczuwała, że fakt ten wykorzystają albo ich rodzice, albo dziadkowie. Ponieważ ci drudzy nie otrzymali niczego, co można by spieniężyć, prędzej to oni zapragną położyć na oszczędnościach staruszki swe kopyta, wykorzystując wszystkie możliwe środki oraz kruczki prawne.

Oczywiście, w międzyczasie wyszło na jaw, że kilka lat temu, jeden z wnuków, chyba Swift Cast, będąc przejazdem w Manehattanie, wpadł do Lullaby. To w ten sposób staruszka dowiedziała się o tym, że była prababcią. Najwyraźniej, wnuczki chciały zataić ten fakt, by na ich konta powędrowały również oszczędności starej Lullaby. Zresztą, te kucyki ani trochę nie przejmowały się tym, że ich rodzice otrzymali w spadku „tylko” przebaczenie. Ba, wręcz się pyszniły, choć nie ukrywały swej irytacji, że „gówniarze” mieli otrzymać oszczędności po prababci.

Silkflake czuła się okropnie w ich towarzystwie. Mogła jedynie mieć nadzieję, że prawnuki pani Harpstrings, kiedy już dorosną, okażą się kucykami dużo bardziej empatycznymi, niżli ich rodzice. Jednocześnie, czarnogrzywa zastanawiała się, dlaczego została zaproszona na odczytanie testamentu. Odpowiedź przyszła natychmiast, kiedy to prawnik poprosił zgromadzonych o spokój. Ostatnia wola Lullaby Harpstrings przewidywała jeszcze kilka akapitów.

Do mojej kochanej przyjaciółki, Silkflake.

Nie potrafię znaleźć właściwych słów, by wyrazić moją wdzięczność, za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Tylko dzięki Tobie znów uwierzyłam, że warto jeszcze trochę pożyć. Tylko dzięki Tobie poczułam, że są jeszcze kucyki dla których coś znaczą. Będę tęsknić za Twoimi dużymi, pełnymi życzliwości, lśniącymi oczkami. Będzie mi brakować Twego głosu i wspólnych pogawędek przy herbacie.

Chcę dla Ciebie coś zostawić. Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie czas, będzie to Twoja ostoja, o której tak bardzo marzysz. Zdążyłam to wyremontować i wyposażać. Dla mnie, jest to bardzo szczególne miejsce. Dostałam je od mojej matki, a teraz pragnę przekazać je Tobie. Bądź zdrowa i dobra.

Mój dom z ogrodem, znajdujący się w miasteczku Dodge City, przekazuję w całości mojej przyjaciółce, Silkflake z domu Archer, urodzonej dnia 11 grudnia, 1988 roku w Manehattanie. Ponownie, proszę mego pełnomocnika, by zadbał o otrzymanie spadku przez wyżej wspomnianą Silkflake, kiedy nadejdzie właściwy czas.

– Podpisano: pani Lullaby Harpstrings. To jest koniec ostatniej woli. Dziękuję – mruknął beznamiętnie ogier w garniturze, unosząc wzrok.

Silkflake nie wiedziała co powiedzieć. Musiało minąć trochę czasu, zanim zdała sobie sprawę, że właśnie otrzymała w spadku po staruszce dom. Swoją własny, w pełni wyposażony dom. Miejsce, do którego ucieknie, kiedy tylko ukończy szesnaście lat, przerwie naukę w szkole, a studium podejmie zaocznie, albo w ogóle z niego zrezygnuje, ucząc się poprzez zdobywanie doświadczenia, w ramach pracy w Dodge City. Z dala od zaborczej matki i smutków.

Z drugiej jednak strony, czyż nie obiecała jej, że cokolwiek by się nie działo, nigdy nie opuści swych rodziców, tak jak dzieci pani Harpstrings? Mało tego, przecież obiecała ojcu, że nie zamieni dwóch ostatnich lat nauki na studium, nie zdecyduje się na żaden kurs, zanim otrzyma świadectwo.

Aczkolwiek, Stark Archer obiecał swej najmłodszej córce wiele rzeczy. Za każdym razem łamał obietnice, pod presją matki. Nie wydawał się mieć z tego tytułu żadnych wyrzutów sumienia, jedynie tłumaczył w kółko to samo, że „tak trzeba”, „tak będzie lepiej”, „mama ma rację”. A gdyby tak Silkflake wytłumaczyła nagłą zmianę zdania takim lakonicznym „bo tak mi się podoba”? Zresztą, kiedy będzie pełnoletnia, jej rodzice nie będą mogli jej niczego nakazywać. Vanilla miała rację. Lullaby zawsze powtarzała, że w życiu jest bardzo mało okazji do tego, by osiągnąć szczęście, a czas nie stoi w miejscu, zatem nie warto tychże okazji marnować.

Silkflake czuła, że będzie szczęśliwa tylko wtedy, kiedy zostawi za sobą to brudne, zepsute miasto, którego nigdy nie lubiła. Będzie żyć pełnią życia wtedy, kiedy odda się temu, co ją interesuje i temu co naprawdę chce w życiu robić. Wystarczyła maszyna do szycia, trochę tkanin, nici i przyborów. Zresztą, mogła też pomagać innym, pracować jako sklepikarka, czy opiekunka. Wciąż jednak, uniezależnienie się od rodziców niosło ze sobą jeszcze jedną, najważniejszą korzyść.

Mogła zdobyć nowych przyjaciół, samodzielnie poszukać drugiej połowy, założyć taką rodzinę o jakiej zawsze marzyła. Vibrant Blossom miała rację w jednej tylko kwestii. Na pewnym etapie życia, dzieci opuszczają rodzinny dom i zaczynają swoje życie. Właśnie wtedy granatowa klaczka coś zrozumiała. To, że się wyprowadzi i zacznie wieść swoje życie, nie jest równoznaczne z tym, że o swych rodzicach zapomni. Że zostawi ich, czy to na starość, czy w chorobie. Wiedziała już co powinna była zrobić, aby nikogo nie zawieść i jednocześnie żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

– Ja i mój kuzyn dostaliśmy jakieś mieszkanie do podziału, a ta smarkula ma dostać cały dom?! – uniósł się jeden z obecnych w pomieszczeniu ogierów.

– Drodzy państwo, proszę nie kwestionować ostatniej woli nieboszczki. Proszę uszanować... – zaczął monotonnym tonem prawnik, lecz przeszkodził mu nagle rozgorzały harmider.

– To oburzające! Kim ona w ogóle jest? – zdenerwowała się jakaś klacz.

– Wykorzystała sytuację! Pewnie sama namówiła ją do tego, żeby przepisała jej cały dom! – wtrąciła inna nieparzystokopytna.

– To... To Nieprawda! – zaprotestowała stanowczo Silkflake, lecz została zakrzyczana.

– Pewnie utruła czymś staruszkę, albo zrobiła coś jeszcze gorszego!

– Chwila, moment! – niespodziewanie, do dyskusji włączyła się Vibrant Blossom. – To MOJA córka latała po zakupy, leki, siedziała z nią, kiedy wyście byli zajęci nie wiadomo czym!

– Opiekowałam się panią Harpstrings, byłam przy niej, kiedy... – dodała z przejęciem Silkflake.

– Przymknij się teraz – rzuciła przez zęby Blossom, tuż zanim ponownie zwróciła się do wzburzonych krewnych staruszek. – Cieszcie się, że w ogóle coś dostaliście, bo...

– A pani kim jest?! – oburzyła się jedna z córek pani Harpstrings.

– Ja? Jeśli już musi pani wiedzieć, jestem tą, która wydała na świat klacz, która zajęła się WASZĄ krewną, kiedy ta zestarzała się i straciła zdrowie! – odrzekła drapieżnie Blossom.

– Pani jest tą, przez którą majątek nie zostanie w rodzinie! Hańba!

– Hańbą jest to, że zapomnieliście o pani Harpstrings, a teraz wyciągacie kopyto po spadek! – krzyknęła z żalem Silkflake, zanim została ponownie została zdyscyplinowana przez matkę.

– Podważymy ten testament! Jeszcze się przekonamy, komu słusznie się należy ten dom! – odgrażała się inna klacz, prychając groźnie.

– A, podważajcie sobie! To nasza część spadku, która się nam należy! Silkflake, wychodzimy!

Zagniewana Blossom pochwyciła kopyto córki, po czym energicznym krokiem opuściła gabinet prawnika. Młoda klaczka ledwo za nią nadązała. Obejrzała się tylko raz, być może po raz ostatni stając oko w oko z pełnymi gniewu i zawiści spojrzzeniami kucyków, którym w pewnym sensie pokrzyżowała plany. Wciąż, nie mogła uwierzyć w to, że byli to krewni Lullaby Harpstrings – osoby cieplej, serdecznej, pomocnej, dobrej, z której Silkflake chętnie brała przykład.

Uparcie szarpiąc za kopyto, Vibrant Blossom ciągnęła córkę coraz dalej, w stronę głównego wyjścia. Tuż zanim zdołała popchnąć drzwi, granatowa klaczka wyrwała się i zabrała głos.

– Mamo, co miałas na myśli mówiąc, że to „nasza część spadku”? – spytała podejrziwie.

– Której części tego zdania nie rozumiesz? – warknęła klacz. – Staruszka zapisała nam dom. Przypuszczam, że razem z nim skapnęła się nam ziemia, na której stoi.

– Mamo, pani Harpstrings zapisała dom mnie – zauważyła Silkflake.

Klacz zmarszczyła brwi, słysząc te słowa. Spojrzała z góry na swą latorośl, z zamiarem wyprowadzenia jej z kancelarii. Ta jednak, cofnęła się.

– Przestań pajacować! Nie widzisz jaką szansę dostałyśmy?

– Jaką szansę? O co ci chodzi? – dziwiła się czarnogrzywa.

– Musimy się zorientować, czy wliczona jest w to ziemia, na której znajduje się nieruchomość i jeśli tak, wycisnąć z niej jak najwięcej – wyjaśniła Vibrant Blossom. – Wiesz przecież, że chcemy kupić dom. Wraz ojcem, mieliśmy oszczędzać jeszcze dwa lata, by spłacić pierwszą ratę, ale jeśli się uda sprzedać tę ziemię, być może będziemy mogli ten dom od razu kupić.

– Ale... Ale...

– Koniec gadania! – postanowiła klacz.

Silkflake myślała, że śni. Jej matka chciała tak bez mrugnięcia okiem sprzedać jej spadek, przekreślić wolę pani Harpstrings dla własnych korzyści. Jak ona mogła?

– Myślałam, że jesteś inna od tamtych kucyków! Jak możesz wygadywać takie rzeczy?!

– Licz się ze słowami, młoda damo – zdenerwowała się Blossom. – Nie potrzebna jest ci jakaś stara chata, na jakimś zazadziu.

– Ja sama wiem, co mi jest potrzebne, a co nie! – krzyczała Silkflake, unikając każącego kopyta matki. – To jest MÓJ dom. Lullaby zostawiła go DLA MNIE! Nie masz do niego żadnych praw!

– Jestem twoją matką, a ty jesteś smarkatą, nieodpowiedzialną gówniarą. Masz mnie słuchać!

– A właśnie, że nie! Nie będę cię słuchać! Sama będę o sobie decydować! Jesteś okropna!

Po tych słowach, klaczka odepchnęła od siebie rodzicielkę, po czym pognęła w siną dal, jak najdalej od kancelarii prawnej. Nie zareagowała na wołania Blossom, po prostu pogalopowała tam, gdzie ją kopyta poniosły. Dopiero po jakimś czasie postanowiła przystopować, odsapnąć, a potem udać się do Vanilli. Potrzebowała jej rady. Chciała też poprosić ją o nocleg. Nie mogła wrócić do domu. Jeszcze nie. Lullaby już nie było, a Rosemary miała na głowie sporo zaległości. Na ojca nie mogła liczyć. Potrzebowała swej przyjaciółki, potrzebowała kogoś, kto pomoże jej przetrzymać te najtrudniejsze chwile.

W ciszy i spokoju, musiała oswoić się z ostatnimi wydarzeniami, przearanżować swoje życiowe priorytety. Planowała wiele radykalnych zmian, wszystkie spod znaku symbolicznego zerwania łańcuchów, uwolnienia się od matki. Nie była pewna, czy ich przeforsowanie przyjdzie jej bezboleśnie, czy też w ostatniej chwili nie zabraknie jej odwagi. Niemniej, chciała próbować.

Obiecała to pani Harpstrings.

* * *

Silkflake musiała odbyć wiele trudnych rozmów, wytrzymać więcej kłótni, a znieść jeszcze więcej przykrości, zanim wreszcie uczyniła to, co uznała za słuszne. Co by nie mówić, Vibrant Blossom miała kilka niepodważalnych, mocnych argumentów. Wszak nie dało się zaprzeczyć, że nosiła swą córkę przed niemalże równie jedenaście miesięcy pod sercem, kiedy to ojciec zmuszony został wziąć sobie dodatkową pracę, by odłożyć na wyprawkę dla nowej członkini rodziny. To, że Blossom nie spała po nocach i karmiła Silkflake było faktem, z którym trudno było dyskutować. Jej siostry poświęcały się dla niej, pokazywały co to znaczy być klaczą, kiedy rodzicom brakowało czasu.

Klacz musiała to uszanować. Musiała w wielu aspektach przyznać rację matce, lecz nie mogła się złamać. Nie chciała być niczyją niewolnicą. Pragnęła samodzielnie żyć i

spełniać się tak, jak miała na to ochotę. By tego dokonać, musiała zostawić za sobą wiele rzeczy. Postawić grubą kreskę, ruszyć przed siebie, raz na zawsze zapominając o tym, że...

Ależ nie! Tylko nie zapominać! Nie mogła myśleć o tym w ten sposób! Musiała pamiętać, musiała mieć świadomość tego, że wciąż miała rodzinę, być może czekającą na jej powrót. Natomiast, o swym przyjeździe do Dodge City, musiała myśleć jak o naturalnej kolej rzeczy.

Targana sprzecznymi myślami, teraz szesnastoipółletnia Silkflake, stanęła przed domem, który zapisała jej Lullaby Harpstrings. Czyżby znów matula miała rację? Chata wydawała się dosyć licha, smutna. Fakt ten napełnił klacz wątpliwościami, ale na szczęście, wewnątrz było zupełnie inaczej. Przytulnie, miło, schludnie, solidnie, tak jak to sobie wyobrażała. Co prawda ogród znajdował się w opłakanym stanie, ale nie było to nic, czemu nie potrafiłaby zaradzić. Pełnomocnik Lullaby dobrze się spisał, utrzymując dom w stanie porządku, dopóki nie przekazał aktu własności i wszystkich dokumentów Silkflake. Klacz nie miała zbyt wielu pakunków, lecz nie było wątpliwości, że czekało ją jeszcze mnóstwo pracy, zanim na dobre się tu zdomowi.

Kucyki pomieszkujące w Dodge City wydawały się być miłe. Ciepło przywitały swą nową sąsiadkę, oferując przy okazji pomoc w porządkach. Silkflake od razu poczuła się tak, jakby była wśród kucyków, których nie musiała się obawiać i które ją rozumiały.

Czyżby Vibrant Blossom specjalnie obrzydziała córce samodzielne życie i wmawiała jej, że sobie nie poradzi, by ukryć przed nią ten „inny” świat? By zataić przed nią to, że poza Manehattanem są inne, lepsze miejsca?

Być może pewnego dnia klacz pozna odpowiedzi na te pytania. A póki co, tutaj, w Dodge City, czekało na nią zupełnie nowe życie.